

Dziś w numerze: ● Boże, chroń Kruppa! ● Włókniarze łódzcy ● Wyprawa do Damaszku ● Zapiski ze szkicownika ● Dzień powszedni ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 15 (429)
16. IV. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



O Festiwalu Poezji

Publikujemy dziś kolejne głosy w dyskusji na temat roli i miejsca, jakie powinien zająć w życiu kulturalnym Polski Ludowej przygotowywany właśnie II Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi. Przedstawiciel „Odgłosów” rozmawia z Julianem Przybosiem i Zbigniewem Bieńkowskim, twórcami, których wiersze weszły na trwałe do skarbnicy najnowszej poezji narodowej. Są oni jednocześnie wybitnymi teoretykami poezji, autorami znakomych zbiorów esejów i dlatego też wypowiedzi ich szczególnie polecamy uwadze Czytelników.

SOJUSZ SZTUKI Z PRACĄ

ROZMAWIAMY
Z JULIANEM PRZYBOSIEM

„ODGŁOSY”: Jak ocenia Pan festiwal poezji, w których uczestniczył Pan w roku ubiegłym? Zależy nam oczywiście szczególnie na ocenie festiwalu łódzkiego, ale warto go porównać z innymi, godnymi uwagi.

JULIAN PRZYBOS: Fakt, że Łódź, największe skupisko robotnicze w Polsce zafundowało festiwal poezji, jest zjawiskiem doniosłym, świadczy bowiem o szacunku ludzi pracy dla spraw kultury duchowej. To twórców zobowiązuje. To powinno skłonić uczestników festiwalu do głębszej refleksji nad tym, co robią w poezji. Powiedziałem — skłonić do refleksji — ale to za słabo. To powinno skłonić ich pióra przed wielką sprawą ludzkiego trudu, dzieki któremu my, tzw. twórcy kultury, żyjemy i piszemy. Chodzi tu nie o deklamacje na temat pracy, tylko o prawdy podstawowe, o wnikiwe w najgłębsze motywy tworzenia, o odpowiedź na pytanie: dlaczego i po co tworzymy? I zrozumienie, że pi-

szemy nie tylko dla siebie, że piszemy także dla tych, którzy nas żywią.

W inicjatywie łódzkiej na szczególne podkreślenie zasługuje właśnie jej społeczne tło. Zatrzymał mi się w pamięci fakt zainteresowania festiwalem działaczy społecznych poświadczony obecnością na sali obrad i przemówieniem gospodarza polskiej stolicy robotniczej. Pamiętam także recytacje laureatów, a z samych obrad i dyskusji, to przyznaję utrwalił mi się w pamięci tylko referat Sandaiera. Pamiętam także, co mnie oburzyło, że przewodniczący debat niegrzecznie przerwał mówcy powołując się na jakiś mityczny limit czasu. Pamięć ma jak wiadomo tendencję optymistyczną, więc dziwię się, że do tej pory tego faux pas przewodniczącego zebrania nie zapomniałem.

Wysoko ocenilbym festiwal w Kłodzku, ośrodku niby peryferyjnym. Tam dyskusja skoncentrowała się wokół zagadnienia dla poezji centralnego, takiego jak „przedmiot poezji”. Postarano się o rodzaj seminarium, najciekawszy referat poświęcony tym zagadnieniom miał Tymoteusz Karpowicz. Zapamiętałem w dyskusji głos Sławińskiego, wybitnego krytyka-strukturalisty.

Dalszy ciąg na str. 8

EWA SIEMIŃSKA

CZY NOWA APOKA LIPIA?

„elektroniczna maszyna cyfrowa odra 1013, często niesłusznie nazywana maszyną elektroniczną, przesyła serdeczne pozdrowienia redakcji odgłosów, życząc wszystkim pracownikom powodzenia w pracy i zadowolenia w życiu osobistym. równocześnie elektroniczna maszyna cyfrowa, przewidziana do zastępowania człowieka w mechanicznej, niepotrzebnie obciążającej jego umysł pracy intelektualnej poleca swe usługi wszystkim zainteresowanym z poważaniem odra 1013”

Nadawca sam się przedstawił. Tak, ten list pisał do redakcji naszego pisma maszyna matematyczna, nazywana często niesłusznie — jak sama zaznaczyła — mózgiem elektronicznym. Pisała przy mnie. Zapewniłam więc wszystkich, że nie było w tym żadnego podstępku, żadnej mistyfikacji. Skąd jednak ów opór przeciwko tak bardzo rozpowszechnionej nazwie? Bo maszyna nie myśli, wypełnia jedynie pewne funkcje — myślenia ludzkiego. Określenie „mózg” jest więc terminem fałszywym, sugerującym mylnie pełną analogię z umysłem człowieka. Maszyna nie działała spontanicznie na mój widok. Została przygotowana do wykonania tej czynności. Usłużnie, bezbłędnie i prędko, wypełniła zadanie, które jej powierzono. Tak więc — na początku był człowiek. To on pomyślał i sformułował tekst tego listu wraz z poleceniem wykonania dla „REDAKCJI POEZJI WŚROD ŁÓDZKIEJ PUBLICZNOŚCI CZASOPISMA ODGŁOSY” tablicy wartości kwadratów, sześciąt, odwrotności i pierwiastków kwadratowych kolejnych liczb naturalnych od 1 do 20. Tekst i polecenie zostały zapisane w języku „rozumiałym” dla maszyny, tzn. przy pomocy odpowiednio perforowanych otworków na specjalnej taśmie z mocnego papieru przypominającego pergamin. Zapis ten przetworzony został przy pomocy fotokomórki na odpowiednie impulsy elektryczne, które spowodowały działanie maszyny. Mechanizm tego działania jest bardzo skomplikowany — maszyny matematyczne to przecież cud współczesnej techniki. Nie będą go opisywać. Nadmienię tylko dla niewtajemniczonych, że maszyna taka posiada pamięć, tym większą, z im większą ilością „komórek” się składa. Jeśli podstawą konstrukcji są lampy — jest ich mniej. Jeśli tranzystory — więcej. „Odra 1013” należy do drugiego typu maszyn matematycznych, ma ponad 8.000 komórek pamięci. Za granicą buduje się już jednak maszyny o pamięci rzędu kilku lub kilkudziesięciu milionów komórek. W przyszłości ilość ta wzrośnie do miliardów. Odpowiednio zwiększy się równocześnie ilość i zakres możliwych czynności wykonywanych przez te maszyny. Już

Dalszy ciąg na str. 3



Zawarcie układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy między Polską a Bułgarią, wizyta Edwarda Ochaba we Włoszech, rozmowy wiceprezidenta Humphreya z Kiesingerem i de Gaulle'm, podróż U Thanta i jego nowa interpretacja propozycji wobec Wietnamu, formowanie rządu francuskiego — w takiej kolejności można u szeregować najważniejsze wydarzenia polityczne ostatniego tygodnia.

Obserwatorzy zachodni — o czym pisałem w poprzednim komentarzu — ze szczególnym zainteresowaniem śledzą aktywność dyplomatyczną krajów naszego obozu. Zawarcie w krótkim czasie czwartego z kolei układu przyjaźni w rodzinie państw socjalistycznych rozumieją oni jako wznowienie dodatkowej, skutecznej zapory przeciwko polityce NRF.

W ten sposób — piszą — powstał już „żelazny czworobok”, uniemożliwiający Kiesingerowi rozwijanie swej „polityki wschodniej”. Nadzieje jakie towarzyszyły pierwszemu 100 dniom jego rządów, rozwiewają się szybciej niż można było oczekiwać...

Przypomnijmy więc raz jeszcze, o jakie to „nadzieje” chodziło. Otóż założeniem koalicyjnego rządu było pozostanie przy wszystkich doktrynalnych zasadach dawnej polityki z jednoczesnym pozorowaniem zmian orientacji. To ostatnie zamierzano osiągnąć m. in. przez normowanie stosunków dyplomatycznych z krajami socjalistycznymi — oczywiście poza NRD — tym samym izolując ją politycznie. Był to zatem zwykły manewr taktyczny. Taką taktykę, opartą na złudzeniach, że uwierzymy w rzekome przeorientowanie polityki Bonn, krzyżując również dwustronne układy o przyjaźni. I stąd dające się łatwo zaobserwować zdenerwowanie w Niemczech zachodnich, i stąd uwagi komentatorów o rozwijaniu się nadziei Kiesingera.

W tej sytuacji tym większe zainteresowanie budziło spotkanie kanclerza NRF z podróżującym po Europie wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych — Humphreym. Przypuszczano bowiem powszechnie, że jednym z tematów rozmów będzie właśnie tzw. „nowa polityka wschodnia” Bonn, (oprócz stosunków USA — NRF, układu o nierozpożyczaniu broni nuklearnej, sytuacji w NATO itp.). Z materiałów, jakie do tej pory do nas dotarły, trudno wnioskować, co do dalszych planów Kiesingera. Nie wiemy także, jakich to rad udzielił kanclerzowi Humphrey. W każdym razie koalicyjny rząd boński na pew-

no będzie musiał szukać odpowiedzi na pytanie: i co dalej?

Dla omawianej kwestii, a więc kłopotów rządu NRF z powodu załamania się „nowej polityki wschodniej” charakterystyczna wydaje się wypowiedź wicekanclerza Brandta na posiedzeniu Rady Ministrów Unii Zachodnioeuropejskiej w Rzymie. Powiedział on tam m. in.:

„Musimy zwracać uwagę na ustalenie wspólnych poglądów Zachodu na przyszły rozwój stosunków w Europie i na pokojowe uregulowanie sytuacji europejskiej... Nie należy dopuścić do tego, aby ktoś uległ pokusie uprawiania polityki odprężenia kosztem innych”.

Co dyktuje te słowa — obawa przed ponownym wyizolowaniem NRF, czy też może chęć pohamowania procesu odprężenia w Europie? A może jedno i drugie?

Jak Czytelnicy wiedzą z bieżących doniesień agencyjnych w ub. tygodniu zebrał się po raz pierwszy nowy parlament francuski. Jego przewodniczącym został gaullista, otrzymując poparcie także części innych ugrupowań. Z pierwszego starcia w głosowaniu — V Republika wyszła więc obronną ręką.

Jak ostatecznie rozłożyły się siły polityczne w Zgromadzeniu Narodowym, uwzględniając przypięcie się do poszczególnych frakcji deputowanych z innych ugrupowań?

Gaułłiści rozporządzają w sumie 242 głosami, lewica 194, tzw. unia centrum — 41, natomiast 9 deputowanych nie zgłosiło przynależności do żadnego ugrupowania.

Głosowanie na kandydaturę Jacques Chaban-Delmas na przewodniczącego Zgromadzenia, która otrzymała 261 głosów, wykazuje jednak, że każdorazowo układ kształtować się może inaczej. W sumie jednak nie wydaje się, aby de Gaulle miał w parlamencie większe trudności.

I jeszcze uwaga o omawianej w ub. tygodniu inicjatywie U Thanta w sprawie wojny wietnamskiej.

Złożone ostatnio przez niego wypowiedzi wskazują, że sekretarz generalny ONZ zaniepokoił się reakcją (negatywną opinią publiczną) i pozytywną Waszyngtonu na swoje ostatnie propozycje. Dlatego też uznał za słuszną jednoznacznie skomentować, oświadczać, że zawieszenie broni będzie bezprzedmiotowe tak długo, jak długo nie zostanie wstrzymane bombardowanie DRW. Powrót do tego warunku wstępnego wyraża Stanom Zjednoczonym możliwość interpretacji ostatnich propozycji jako zbliżenia stanowiska U Thanta do stanowiska Waszyngtonu.

W. SŁAWSKI

*) Jak wiadomo, U Thant zaproponował niedawno, aby regulowanie konfliktu wietnamskiego rozpocząć od zerwania działań wojennych. Tym samym nie podtrzymał on w tekście propozycji konieczności przede wszystkim zaniechania przez USA bombardowań DRW, co jest jedynym, ale też niezbędnym warunkiem poszukiwania rozwiązań politycznych. Propozycjom tym zarzucano więc, że w jednakowy sposób traktują ofiarę agresji z agresorem.

Tygodnik

Agencja AFP donosi z Hanoi, że Wietnamska Republika Demokratyczna przygotowuje gospodarkę kraju dla zaspokojenia we wszystkich dziedzinach potrzeb dla prowadzenia długiej wojny.

Telewizja amerykańska zorganizowała konkurs na temat „Kogo należy uważać za prawdziwego patriotę?”. Pierwszą nagrodę uzyskał telewidz, który nadesłał następującą odpowiedź: „Za prawdziwego patriotę może się uważać tylko ten, kto nie tań swoich dochodów i rzetelnie płaci podatki”.

strzegł rzeczy najważniejszej. Oplakując poległych przyjaciół, nie wysunął nosa ze swej willi w Pieriedielinie, z wesołymi zagonami ziemniaków i truskawek... Oburzał się z powodu dawnych przejawów niesprawiedliwości i krzywdy, dążył się pokrajać byleby ludzie byli szczęśliwi, ale miał bardzo mgliste wyobrażenie o tym, jak zwalczyć zło na świecie i zdobyć szczęście dla zniekańnej ludzkości. Było coś dziecięcego w jego upartym odrzuceniu prawd, które stały się już bezsporne”.



Johnson: — To nie, przyjdzie dzień, kiedy i my ujrzymy światło.

Na łamach tygodnika „Literaturna Rossija” ukazał się fragment pamiętników pisarki Galiny Sieriebriakowej zawierający wspomnienie o Borisie Pasternaku. „Życie Pasternaka było bogate — pisał autorka pamiętnika — w pełniła jej twórczość, myśli pełne niepokojów, poszukiwania formy, szlachetne porwy. Ale było bardzo ubogie jeśli chodzi o wydarzenia i przemiany społeczne. Świat pękał, wyraszały i upadały góry lodowe, w mękach rodziło się nowe życie, a Pasternak zakrywał dłońmi twarz wciąż stał na uboczu. Ze współczuciem i daremnym dążeniem do bohaterstwa i ofiarności nie do-

Amerykański publicysta Walter Lippmann w komentarzu poświęconym wizycie wiceprezidenta Humphreya w stolicach wielu krajów Europy zachodniej stwierdził, iż moralny i polityczny wpływ USA w Europie gwałtownie zmalał w ciągu ostatnich kilku lat. Przyczyną: wojna w Wietnamie, „tak głęboko i żywo niecierpiąca w całej Europie”, oraz fakt, że odwilż zimnej wojny jest w Europie o wiele bardziej zaawansowana niż w Stanach Zjednoczonych”.

Jedno z kairskich czasopism informuje, że były król Jordani, Talal, grozi popełnieniem samobójstwa, jeśli jego syn, obecny król Jordani Husein, nie spowoduje uwolnienia go ze szpitala w Stambule. Przed 10 laty Anglik pozbawił Talal władzy pod pretekstem choroby psychicznej, osadzając na tronie Huseina. Talal przez wszystkie te lata przebywał w izolacji szpitala, obecnie zaś wystosował do Huseina list, żądając uwolnienia. Husein na list ojca nie odpowiedział.

W Pekinie nasila się wojna plakatowa. Pod hasłem powrotu do „ducha czerwonego sierpnia” tj. początku rewolucji kulturalnej ubiegłego roku, aktywniejsze są młodzież czerwonogwardyjska. Wydarzenia te komentowane są przez agencje zachodnie jako odwrót od zarysowującego się procesu stabilizacji zapoczątkowanego w ubiegłym miesiącu. Uważa się również, że inicjatorem tej zmieniającej się sytuacji jest powołanie komisji do spraw rewolucji kulturalnej z Czen Po-ta i Zou Mao, Ciang Czing na czele.

Jeden z lekarzy okulistów w Filadelfii zastosował nowy sposób określania wad wzroku. Zamiast tradycyjnej tablicy z cyframi i literami lekarz ów posłużył się przy badaniu mężczyzn zdjęciami słynnych gwiazd filmowych, kobiet natomiast wycinkami z ostatnich magazynów mody. Według opinii lekarza jego metoda ustalania defektów wzroku okazała się niezawodna.

Amerykański lotnik Robert Scott, który uczestniczył w bombardowaniu obiektów przemysłowych DRW oświadczył na konferencji prasowej w Sajgonie, że system obrony przeciwlotniczej Wietnamu Północnego jest „najbardziej nowoczesny i najbardziej niebezpieczny” ze wszystkich jak-

AFP: Wydaje się niemal pewne, że minister spraw zagranicznych Rumunii Corneliu Manescu zostanie wybrany przewodniczącym XXII Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Ho Szi Minh: dla przywrócenia pokoju konieczne jest aby Amerykanie bezwarunkowo zaprzestali bombardowań i aktów wojny przeciwko DRW, wycofali wszystkie swe wojska z Wietnamu Północnego, uznali Front Wyzwolenia Narodowego za jedynego prawowitego przedstawiciela narodu południowowietnamskiego i pozwolili samemu narodowi wietnamskiemu rozwiązać swe problemy wewnętrzne bez ingerencji zagranicznej.

W Stanach Zjednoczonych, w jednym z miast stanu Pensylwania otwarto niedawno dom sprzedaży... roku 2000. Wchodząc do pomieszczenia klient pokonuje ścianę sprężonego powietrza, następ nie eskalator przeniesiony zostaje do dowolnego skóra nego fotela wyposażonego w słuchawki. Wystarczy następ nie włożyć kartę kredytową do odpowiedniej szczeliny, i nacisnąć na guzik uruchamiający dwa ekrany kolorowej telewizji, na których ukazują się żądane przedmioty. Przy wyjściu ze sklepu oczekuje na klienta zapakowany towar.

Paryski tygodnik L'Express pisze w artykule pt. „Rosjanie robią dobre interesy”, iż radzieccy wice ministrowie handlu przeprowadzili ostatnio zadowalający układ dotyczący budowy rurociągu gazowego długości 1200 km, który połączy Lwów na Ukrainie z Triestem we Włoszech. Związek Radziecki począwszy od roku 1970 będzie dostawał przeszło 1/3 gazu naturalnego zużywanego przez Włochy. Twierdzi się, że Francja również zamierza przyczynić się do realizacji tego przedsięwzięcia. Trwają rozmowy na temat możliwości odprowadzenia gazociągów z Triestu na terytorium francuskie.

W zachodniemieckim piśmie młodzieżowym „Elan” ukazał się artykuł o NRD, w którym autor stwierdza, że w czasie pobytu w tym kraju spotkał się z powszechnymi przejawami dumy ludności Niemieckiej Republiki Demokratycznej z osiągnięć jej Ojczyzny. „Przy tak dużej dawce poczucia świadomości — pisze autor — bońskie roszczenia do wyłącznego reprezentowania interesów Niemiec rozbijają się o granitową ścianę. Robotnicy popierają swój rząd. Widać to wyraźnie w zakładach pracy... Robotnicy łamią sobie głowy nad tym jak przeprowadzić proces racjonalizacji... Najwi doczniej nie tylko same pieniądze uskrzydlały ludność NRD do angażowania się na rzecz rozwoju gospodarczego. Bódcem jest świadomość, że ma się tu coś do powiedzenia. Ludzie tu wiedzą dokąd droga prowadzi”.

Christian Science Monitor w korespondencji z Rio de Janeiro pisze, że anty amerykański jest widoczny, aczkolwiek trudno uchwytyną cechą charakterystyczną polityki amerykańskiej sceny politycznej i kulturalnej. Akcje partyzanckie, gniewne przemówienia, napisy na murach — są jego najbardziej widocznym przejawem. Jest nim również pogardliwa postawa wobec typowego amerykańskiego turysty i niechęć wobec zamożnych dyplomatów czy businessmenów.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy mówi się w Albanii o „nowym etapie rewolucji socjalistycznej”, którą koła dyplomatyczne w Tiranie charakteryzują jako albańską rewolucję kulturalną. Celem tej rewolucji jest m. in. „rewolucjonizacja świadomości ludzkiej, walka przeciwko biurokracji, religii i innym zacofanym zasadom i obyczajom”.

Kraje Europy wschodniej dokonały poważnego postępu w dziedzinie gospodarczej w roku 1966 — głosi sprawozdanie ekspertów z Komisji Ekonomicznej ONZ. Przewiduje się, że w procesie realizacji nowych planów gospodarczych kraje Europy wschodniej staną się potencjalnymi rywalami na rynkach światowych i zaczną odgrywać jeszcze większą rolę w handlu z Zachodem.

Nasz czytelnik

— nasz pan

— To nie tylko slogan, lecz i prawda, której redakcja stara się podporządkować swe działania. Ale mówi się często i o drugiej prawdzie, co gorsza, nie ułatwiającej nam podejmowania decyzji: że Czytelnik, to istota nieznana.

Czy tak jest w istocie? Ankieta „Odgłosów”, którą stale publikujemy prosząc Czytelników o rady, krytykę, postulaty pomaga nam u rzec adresata naszego tygodnika wyraźniej — choć oczywiście do klaryfikacji, zdefiniowania rozeznania jeszcze daleko. W marcu wzięli udział w tej ankiecie nauczyciele, technicy, urzędnicy, uczniowie i studenci. Wypowiadali się również — co prawda tylko w 2 wypadkach — robotnicy. Jeśli chodzi o wiek uczestników ankiety — rzecz interesująca — najliczniej w tym okresie reprezentowana była grupa czytelników w wieku od 20 do 30 lat. Z tych danych wynika prosty wniosek: „Odgłosy” trafiają w ręce młodego inteligenta — jeśli przez to określenie rozumiemy grupę społeczną, nie wyznaczoną ciasno, jak dawniej, cenzusem naukowym, lecz raczej charakteryzującą się aktywną poznawczą postawą wobec współczesnego świata.

A co postulują nasi Czytelnicy? Ich listy (o których za chwilę) wzbogacają i potwierdzają wnioski płynące z analizy kwestionariusza ankiety.

Wynika więc z tych wypowiedzi — przynajmniej na podstawie tego, co przyniosła nam poczta w marcu — że Czytelnicy „Odgłosów” domagają się publicystyki wyraźnie związanej tematycznie z Łodzią, śmielszego mówienia o brakach i bieżących naszym życiu — a także, co jest chyba głosem młodego Czytelnika — że domagają się większej ilości publikacji na temat problemów młodzieżowych, życia studentckiego itp.

Za mało piszemy — wg tych głosów — o filmie, zbyt relatywnie o telewizji. Wywiady nasze bývają za długie, a na temat zagadnień ekonomicznych zabiera głos winni tylko wybitni specjaliści. Pochwalny imiennie — że tak to określiliśmy — przypady w tym miesiącu w udziale naszym felietonistom: Owiekowi, Jazdzewskiemu, Koprowskiemu. Wyróżniono również nasze recenzje i reportaże.

A listy dołączane do ankiety? Zawcituujemy parę ich fragmentów: „Frontem do przemysłu łódzkiego! W każdym numerze chciałoby się znaleźć rzeczową analizę spraw ekonomicznych i zagadnień konfliktowych. Reporter może i musi sięgać nawet po najboleśniejsze tematy, jego biuro budzi sumienie i ludzka wrażliwość”.

IRENA KACZMARCZYK
ŁÓDŹ

„Dlaczego nasz tygodnik jest taki ubogi, dlaczego jest wydawany na gazetowym papierze? Czy naprawdę wszystkie ilustrowane tygodniki, jedno dobre, a inne bardzo przeciętne muszą się ukazywać w Warszawie? Tygodnik społeczno-kulturalny 750-tys. miasta, które może się poszczycić prężnym środowiskiem literackim, malarskim, teatralnym, filmowym powinien posiadać odpowiednią szatę graficzną”.

STANISŁAW JAKUBOWSKI
ŁÓDŹ

„Więcej debiutów — byle nowych i ciekawych! Dość złor starych, lan-

sowanych na siłę! Gdzie jest pokłosie „Czołenka” z lat 1965 i 1966? Gdzie reportaże i opowiadania nagrodzone?”

CECYLIA SKAŁSKA
SZPROTAWA (Ziel. Góra)

„Brak trybuny czytelników. Więcej krytyki na temat naszych łódzkich potknięć”.

ZDZISŁAW ZGIERSKI
ŁÓDŹ

„Więcej wywiadów i poważnych artykułów na tematy moralne i filozoficzne. Niech się wypowiadają ludzie o wielkim autorytecie naukowym, moralnym. Zdaje mi się, że mniej w tych artykułach powinno być wartościowania, a więcej naukowego obiektywizmu. Zamieszczajcie więcej ostrych wypowiedzi, nie lekajcie się swoich czytelników. Życie każdego z nas to walka, trzeba więc nas uczyć jak ją prowadzić”.

ST. ŁATAŃSKI
GDYNIA

„Szkoda, że na ostatniej stronie nie ma już krótkich opowiadań z dziedziny, na które co tydzień oczekiwałem”.

ZBIGNIEW STAROWICZ
SIERADZ

Tyle o ankietach marcowych. Redakcja poważnie traktuje funkcję tej rubryki, widząc w niej formę współuczestniczenia Czytelnika w redagowaniu pisma. Prosimy więc naszych Czytelników o dalsze wyrażanie swej opinii o „Odgłosach”. Wśród uczestników ankiety w marcu br. rozlosowaliśmy nagrody książkowe, które otrzymują:

Zbigniew Starowicz, Anna Dorociak, Marian Gałwa, Barbara Gradowska, Leszek Dutkiewicz, Jerzy Walczak, Zbigniew Pawłowicz, Irena Kaczmarczyk, Henryk Jagodziński, Włodzimierz Jankowski, Stanisław Jakubowski, Maria Markiewicz, Jerzy Zalewski, Henryk Strzelecki, Małgorzata Sala, Cecylia Skalska, Zdzisław Zgierski, St. Łatański, Stanisław Cynker, Józefa Śmieszek.

Czy nowa Apokalipsa?



Dalszy ciąg ze str. 1

obecnie znane są np. za granicą maszyny matematyczne, które potrafią projektować nowe maszyny, „rodzą dzieci” bardziej wszechstronne od siebie.

Wszystko to straciło już dawno posmak sensacji, a nawet demoniczności, jaką człowiek skłonny jest przypisywać każdemu bardziej skomplikowanemu wynalazkowi technicznemu, którego zasad działania nie rozumie, z którym nie dążył się oswoić. Pod niebem, po którym krąży samoloty, przy maszynach, które w ciągu kilkunastu minut dokonują obliczeń, nad którymi cały sztab ludzi pracować musiałby przez lata — współczesny człowiek z uśmiechem poplązania wspomina czasy, kiedy uciekano ze strachem przed „diabelskimi maszynami”: parowozem czy samolotem. Z satysfakcją i odrobiną rozróżnienia czyta stare opowieści fantastyczne o tajemniczych maszynach i robotach, które przestały być nierealne. Rzeczywistość dogoniła ludzką fantazję.

* * *

W pogoni za urzeczywistnioną fantazją ludzką trafiam do Zakładu Cybernetyki Katedry Geometrii Uniwersytetu Łódzkiego. Kierownikiem Zakładu i Katedry jest doc. dr JERZY JARON, który równocześnie pełni funkcję przewodniczącego Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego. Towarzystwo to święcić będzie w maju swój pierwszy noworoczny jubileusz: pięćdziesiąt lat istnienia. PTC zrzesza nie tylko matematyków — znających matematykę wyjątkowo, ale i humanistów i w ogóle ludzi, którzy pasjonują się lub przynajmniej interesują problematyką cybernetyczną. Urządza się dla nich zebrań i odczytów popularnonaukowych, na które ma prawo przyjść każdy, kto tylko zechce. W ten sposób nauka pozwala społeczeństwu lepiej poznać i zrozumieć autentyczną, często zaskakującą współczesność. I — co bardzo istotne — stara się to czynić w sposób przystępny, zrozumiały dla wszystkich. Mówi o tym dowcipnie doc. dr Jerzy Jaron:

— Specyfiką wyróżniającą cybernetykę od innych nauk można by określić w ten sposób, że każda nauka usiłuje mówić tak, aby jej nikt nie zrozumiał (aby nie być posądzonym o zwykłą złośliwość dodam, że jest to wynik dążenia do maksymalnej precyzji wywodów), natomiast cybernetyka dąży do sformułowań, które byłyby zrozumiałe dla wszystkich.

Zrzeszanie przez Polskie Towarzystwo Cybernetyczne ludzi różnych zawodów i specjalizacji jest odbiciem tendencji integracyjnych właściwych samej cybernetyce. Integracja wielu dziedzin wiedzy może jednak mieć rozmaity charakter. Do konuje się ona np. na gruncie filozofii. Pytam więc profesora Jarona, jak można by najkrócej ująć różnicę pod tym względem pomiędzy filozofią a cybernetyką.

— Filozofia w dokonywanej przez siebie integracji przyjmuje inny, sobie właściwy punkt widzenia. Filozofia usiłuje stworzyć w oparciu o tę

integrację światopogląd. Cybernetyka takich ambicji nie ma. Szuka ona jedynie prawidłowości wspólnych różnym naukom, poszukuje praw rządzących zarówno przyrodą żywą (między innymi także człowiekiem), jak i materią nieożywioną z zakresu zjawisk komunikacji i sterowania.

— Jaki jest stosunek cybernetyki do logiki?

— Matematyka i logika (w szczególności matematyka, tzn. symboliczna) są narzędziami cybernetyki. Z biegiem lat sytuacja ta może ulec zmianie. Pośłuchaj się tu pewna analogia. W czasach Newtona, kiedy chodziło o opisanie ruchu ciał niebieskich, stworzony przez niego rachunek różniczkowy był narzędziem mechaniki niebios. Mechanika ta rozrosła się z biegiem czasu w dział fizyki, a potem wskutek coraz większej abstrakcji stała się działem matematyki — mechaniką teoretyczną. Podobnie cybernetyka — przynajmniej teoretyczna — staje się w coraz większym stopniu działem matematyki.

— W dzisiejszych czasach niesłychanie szybkiego rozwoju uprzedmiotowienia i narastającej automatyzacji wskazuje się często na te procesy jako na przyczynę zagrożenia zdrowia psychicznego ludzi, główne źródło wszelkich nerwic. Czy postępująca automatyzacja stanowi faktycznie apokaliptyczne zagrożenie naszej cywilizacji?

— Najważniejszy jest chyba problem: jak współżyć z maszyną, zagadnienie symbiozy człowieka i maszyny. Trzeba ludzi uczyć jej zasad, przyzwyczajać ich do niej. Sięgnijmy do historii. Kiedy zaczęto wprowadzać maszyny do pracy tkackiej, zdarzały się często buntury, wypadki niszczenia maszyn. Dziś bez pracy maszyny nie może sobie wyobrazić tej galezi produkcji. Maszyna traktowana początkowo jako wróg, stała się niezbędnym poświadczeniem człowieka, jego przyjaciół. Maszyna matematyczna jest protezą intelektualną człowieka, pomaga mu zastępować go w mechanizmach, a uciążliwych i czasochłonnych czynnościach intelektualnych. Pewne niebezpieczeństwo automatyzacji tkwi w czym innym: w stałym i ciągłym narastającym wyprzedzaniu humanistyki i medycyny przez technikę.

— Jakże są najważniejsze kierunki rozwoju i zarazem działy cybernetyki?

— Jest ich bardzo wiele. Jednym z nich jest ogólna teoria sterowania i sterowania bardzo szeroko: od sterowania jakimś maszyną, poprzez sterowanie np. ruchem lotniczym lub rozwojem organizmu wskutek oddziaływania na chromosomy, aż do sterowania społeczeństwami.

Innym ważnym działem cybernetyki jest teoria informacji. Narodził się wokół niej wiele nieporozumień i przesadnych nadziei. Jest to dziedzina, która szuka ogólnych praw, a jednocześnie praktycznych wskazówek odnośnie przekazywania i przetwarzania informacji. Przekazywanie może dokonywać np. telegraf z drutem lub bez drutu, ale i satelita komunikacyjny. Z przetwarzaniem informacji spotykamy się już w naszych wystrojach, poczytnych liczydłach, ale i w zarządzaniu przedsiębiorstwem przy pomocy maszyn matematycznych. Wchodzi więc w grę zarówno formy bardzo proste, jak i niezwykle skomplikowane. W przyszłości — wszystko na to wskazuje — maszyny matematyczne pomogą być zapewne i w radzeniu całymi państwami.

Bardzo interesujący i atrakcyjny jest dział lingwistyki matematycznej. Maszyny matematyczne są uniwersalne. Przy odpowiednim zaprogramowaniu mogą dokonywać tłumaczeń z jednego języka na drugi. Masowo robi się w ten sposób tłumaczenia w Stanach Zjednoczonych z języka rosyjskiego na język angielski i w Związku Radzieckim — z chińskiego na rosyjski.

Mimo iż formalnie praca dzieli się na trzy działy: historyczny, społeczno-gospodarczy oraz poświęcony sprawom kultury i czasu wolnego, w istocie raczej należy mówić o dwu jej częściach — pierwszej historycznej i drugiej zajmującej się współczesnością. Zarówno w części historycznej jak i tej, która traktuje o współczesności (liczonej oczywiście od 1945 r.), znajdujemy rozdziały poświęcone problemom społeczno-gospodarczym, obok rozdziałów poświęconych sprawom kultury. Dział historyczny otwiera praca Gryzeldy Missalowej o kształtowaniu się klasy robotniczej przemysłu włókienniczego Łodzi w latach 1817-1870. Ponieważ materiały drugiej części monografii sięgają swymi danymi aż po rok 1961, otrzymujemy obraz środowiska włókienniczej Łodzi prawie 150 lat.

Historia robotniczej Łodzi jest zarazem historią kapitalizmu na ziemiach Polski, walki proletariatu o swe prawa, walki znanej nieprzerwanym niemal ciągiem ofiar i poświęceń, krwawych represji, strajków, klęsk i zwycięstw organizacji robotniczych. Epoka ta, wiek XIX i początek XX, jest zarazem okresem zaborów i narodowe go ucisku, okresem powstania i walk narodowych o wyzwolenie i odbudowę własnej państwowości. Dwa te wątki walki o wyzwolenie społeczne i narodowe — przeplatały się ściśle w dziejach łódzkiej robotnicy, rysując je przekonywająco zamieszczone w pracy studia JANA FIJAŁKA, ALINY BARSCZEWSKIEJ, PAWŁA KORCA I WŁADYSŁAWA LECHA KARWACKIEGO. Mimo że znajdując się w samym sercu ziem polskich, Łódź dopiero w ostatnim dziesięcioleciu przyswoiła sobie narodowo jednolitego miast. Przez pokolenia całe były miejscem zamieszkania i pracy wieloletniej rzeszy ludności należącej do

Ważnym działem jest bionika. Bada zjawiska sterowania i informacji zachodzące w organizmach żywych oraz próbuje budować modele naśladujące funkcjonowanie żywych organizmów. Bada to owe osławione „roboty” — maszyny, które imitują ruchy i reakcje organizmów. W Warszawie demonstrowano już taką protezę ręki reagującą na bioprowy — a więc wykonującą ruchy wskutek samego myślenia o nich.

Dalej — posiadająca największe osiągnięcia w Polsce dzięki badaniom Oskara Langego i Henryka Greniewskiego — bionika — cybernetyka ekonomiczna. Zajmuje się ona badaniem przetwarzania informacji towarzyszącego procesom ekonomicznym i usiłuje stosować odkryte prawa do sterowania tymi procesami. Ważnym narzędziem w tych badaniach są modele tworzone również w maszynach matematycznych.

I wreszcie — dział maszyn matematycznych. Wyrosły one z cybernetyki, a teraz dalszy rozwój tej dziedziny wiedzy niemożliwy jest bez nich. Typowy przykład sprzężenia zwrotnego. Prowadzone są próby zastępowania kart perforowanych pismem (maszyna rozpoznawała wtedy znaki bez względu na charakter pisma), a nawet skonstruowania takich maszyn matematycznych, którym wydawałoby się polecenia przy pomocy mowy, a maszyna dzięki odpowiedniej syntezie dźwięków przypominającej artykulację odpowiadałaby także „ludzkim” głosem. Podobno skonstruowano już taką maszynę w Japonii.

— Ostatnie pytanie: czy z istnienia i rozwoju cybernetyki wynikają jakieś konsekwencje dla współczesnej filozofii?

— Niewątpliwie tak. Cybernetyka przyniosła ograniczenie antropocentryzmu. Co to jest wirus? — żyje przecież lub nie żyje w zależności od środowiska, w którym się znajduje. A człowiek? To zwierzę, które myśli. Cybernetyka podważa tezę, że człowiek jest jedynym bytem myślowym we wszechświecie. Maszyna matematyczna nie myśli, jeszcze wprawdzie, ale wykonuje pewne funkcje myślenia.

Swoją wypowiedź zakończyłbym antypokaliptycznie: nie należy bać się cybernetyki, matematyki, automatyzacji. Wszystko to służy człowiekowi, istnieje dla jego dobra, ma ułatwić mu życie. Kto wie, czy w przyszłości, w dobie pełnej automatyzacji, nie wrócimy w pewnym sensie do epoki periklesowskiej, tzn. ludzie zajmować się będą sztuką, filozofią, a maszyny za nich i dla nich wykonywać będą całą pracę. Dawniej robili to niewolnicy. W przyszłości funkcje ich spełniać może maszyna. I jak wtedy nawoływano do ludzkiego traktowania niewolników, tak teraz wypada powtarzać: uczmy się rozsądnego, dobrego współżycia z maszyną.

* * *

Na zakończenie wizyty w Zakładzie Cybernetyki wysłuchałam jeszcze kilku niedługich utworów muzycznych skomponowanych przez maszynę matematyczną Politechniki Łódzkiej według programu ułożonego przez jednego ze studentów. Melodyjne, całkiem przyjemne dla ucha kompozycje. Szkoda, że Czytelnicy mogą mi wierzyć tylko na słowo. I właśnie wtedy opuściło mnie już całkiem omieszczenie, które odczytałam przy pierwszym zetknięciu się z elektroniczną maszyną cyfrową.

EWA SIEMINSKA

PS. Czytelników interesujących się tą problematyką informujemy, że 27 kwietnia odbędzie się odczyt prof. Macieja Stolarskiego pt. „Problemy komunikacji: człowiek — maszyna”.

KAZIMIERZ ŻYGULSKI

Włókniarze łódzcy

Nie ma dziś w świecie cywilizacji przemysłowej wskaźnika, który by pełniej i dokładniej charakteryzował życie człowieka aniżeli jego przynależność zawodowa. Określa ona zazwyczaj zarówno charakter wykształcenia jak i pozycję społeczną, sytuację materialną i perspektywę awansu, wpływa na rodzaj zainteresowań poza pracą, coraz częściej determinuje krąg znajomości, a nawet wybór partnera życiowego. Ale nie tylko dla jednostki zawodowo staje się główną osią kryształizacyjną życia. Na podstawie wspólnoty zawodowej funkcjonują od wielu dziesiątków lat organizacje tworzące jeden z zasadniczych elementów społecznej i politycznej struktury nowoczesnych społeczeństw — związki zawodowe. Jest rzeczą oczywistą, iż ta rola zawodu, przede wszystkim przemysłowego i rola grupy społeczno-zawodowej, ogromnie wyrastają w ustroju socjalistycznym opartym o własność społeczną i planowanie i uznajemy pracę za kamień węgielny swego bytu, punkt ciężkości głoszonej idei.

Łódź od początku swego przemysłowego istnienia była — i mimo na-

rastających przemian strukturalnych pozostała do dziś — miastem przemysłu włókienniczego, miastem włóknarzy, należąc do klasycznych wręcz przykładów obszarów o dominacji jednego typu zawodu. Od 1945 r. Łódź stała się także wielkim ośrodkiem nauki specjalizującym się nie tylko, jak należało oczekiwać, w wiedzy technicznej, lecz w nie mniejszym stopniu w naukach społecznych. Pojawili się tu poważne ogniska myśli historycznej, ekonomicznej, socjologicznej i demograficznej. Rozwój nauki ma swoje prawa — ustępuje w szybkości tempu budowy zakładów przetwórczych czy dzielnic mieszkaniowych. Z reguły nowe inwestycje w tej dziedzinie przyniosą owoce dopiero po długich, jak na nasz niecierpliw wiek, latach. Obecnie jesteśmy coraz częściej świadkami tego owocowania czy — używając terminu ekonomicznego — intensywnego wzrostu produkcji łódzkich instytucji, zakładów naukowych i uczelni. Jest rzeczą naturalną, iż nauki społeczne rozwijające się obok wielkiego i starego przemysłu, nie mogły nie udzielić mu należytej uwagi. — Jest rzeczą cenna i doniosłą, iż zdobyły się, we współpracy z organizacją związkową, na pierwszą w kraju monografię zawodową poświęconą tej właśnie grupie zawodowej, która swoim wysiłkiem stworzyła i stwarza podstawy egzystencji miasta.

Monografia „Włókniarze łódzcy”, która niedawno ukazała się z druku, stanowi więc już z tego tytułu oryginalną pozycję w bardzo ostatnio obfitej w kraju literaturze na tematy społeczno-zawodowe. Trzydziestu dwu autorów reprezentujących rozmaite dyscypliny, a także aktyw związkowy, w trzydziestu sześciu rozdziałach daje szeroki obraz życia i spraw społeczności włókienniczej. — Przygotowaniem pracy kierował Komitet Redakcyjny, na którego czele stanął — Józef Spychalski jako przewodniczący, Edward Rosset jako redaktor naczelny i Józef Marczak jako sekretarz. Oto w jaki sposób redaktorzy sami określili charakter i zadania publikacji: „Inicjatywa opracowania i wydania tej książki wysunęła przez Związek Zawodowy Włóknarzy władze się z dążeniami do dalszego pogłębiania wiedzy o bogatych tradycjach walk klasowych włóknarzy

łódzkich, do rzetelnego przedstawienia zmian zachodzących w ich sytuacji życiowej, warunkach pracy i postawie społecznej (...). Działaczom związkowym przyswieślała ponadto myśl dokonania analizy wpływu, jakie wywiera środowisko włókiennicze na społeczeństwo łódzkie oraz ustalenia wzajemnych zależności w różnych dziedzinach życia społecznego” pisał w „Słowie wstępnym” Józef Spychalski. Edward Rosset stwierdza w imieniu redakcji: „Wysiłkiem zbiorowym, który podzieliłi pospół pracownicy nauki i działacze związkowi, powstała niniejsza księga, pierwsza w Polsce monografia społeczna wielkiej grupy zawodowej. Księga ta według intencji jej inicjatorów i wykonawców powinna dać czytelnikowi wierny obraz życia wieloletniej rzeszy włóknarzy. Powinna dać wyraz klasowej dojrzałości tej społeczności, odzwierciedlić jej udział w ruchu robotniczym, zobrażować jej wkład w osiągnięcia gospodarcze Polski Ludowej”.

Zadanie redakcji nie było bynajmniej łatwe i to nie tylko ze względu na pionierski charakter zamierzenia, a więc brak wzorów, jakie można by wykorzystać. Z przeszłością i teraźniejszością łódzkich włóknarzy łączy się cała wręcz historia miasta, pełna dramatycznych walk i wysiłków, konfliktów i sprzeczności, a także skomplikowany węzeł zagadnień ekonomicznych, politycznych, społecznych i kulturalnych znacznie wykraczających poza granice miejskich rogatki. Łódź włókiennicza była i jest przecież najściślej związana zarówno z rynkiem światowym jak i światową polityką, z dziejami narodu i klasy robotniczej, z budową nowego społeczeństwa i poszukiwaniem nowych, socjalistycznych form organizacji życia. Pierwsza więc i zasadnicza trudnością było znalezienie właściwej drogi pomiędzy tendencją wąskiego postrzegania tematu, zacieśnienia go do spraw ściśle zawodowych i tendencją nadmiernego rozszerzenia, rozbudowywania.

Jednym z ważnych celów przedsięwzięcia, jak to podkreśla „Słowo wstępne” było oddziaływanie społeczno-wychowawcze, pobudzenie aktywności społecznej i zawodowej ludzi, których obraz przynosi monografia. Większość autorów, których prace złożyły się na książkę, to naukowcy —

Dalszy ciąg na str. 4

str. 3

BOŻE, chron KRUPPA

Motto: Kiedy Krupp kicha, Niemcy są zakatarzone...

W archiwach willi Hügel pieczętowały się takie zdjęcia: na tle stalowej konstrukcji fabrycznego kolosa przycupnięta drewniana chłupka, kryta gontem, z zielonymi okiennicami „w serduszka”. Praga-izak rodziny KRUPP. Symbol kariery.

Nie jestem natomiast pewny, czy w tej samej willi „na wzgórze” gospodarz — Alfred KRUPP von Bohlen und Halbach — chętnie pokazuje gościowi reporterską fotkę, która w roku 1945 obiegła łamy wszystkich gazet świata: mały wojskowy jeep, żołnierze z karabinami gotowymi do strzału, a między nimi — mężczyzna w czarnym kapeluszu i wizytowym ubraniu; właściciel willi Hügel, właściciel Essen, właściciel królestwa KRUPP — sam Alfred Krupp von Bohlen und Halbach, wtedy — zbrodniarz wojenny.

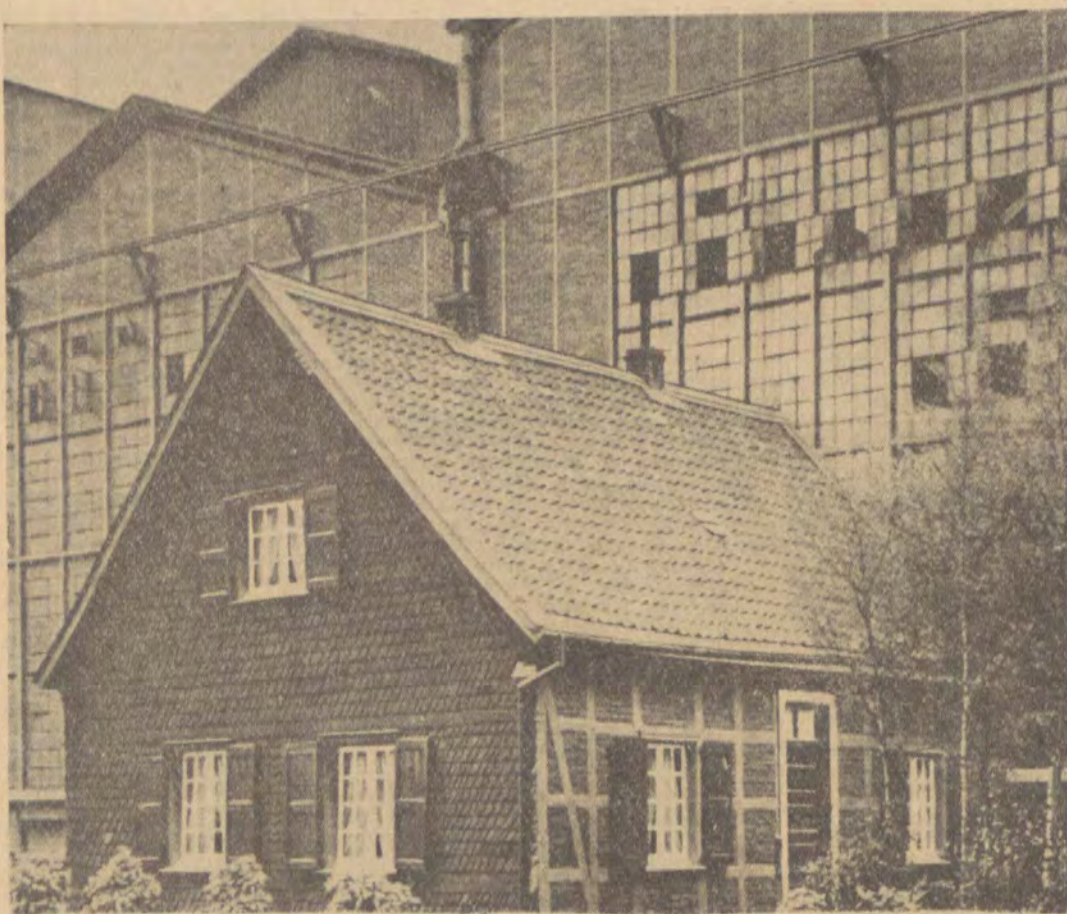
Mam jeszcze inne zdjęcia. Jedno z nich, sam generał pełnomocnik firmy KRUPP — Berthold Beitz był nawet uprzejmy opatrzyć własnoręcznym opisem: „Wystawa światowa, Alfred Krupp przed statkiem głębinnym prof. Picarda (juniora) — produkcja KRUPP”. Reflektory, uśmiechy, publicyści, nie się nie zmieniło, nie było Norymbergi, wszystko od nowa! Niech żyje król!

Gdzieś w pobliżu rzeki Aar, w Szwajcarii, leży mała miejscowość Kripp.

Krippe, Krippe — to po niemiecku koryto, żłób do zadawania koniom obroku. Z tego właśnie „Krippe” lub „Kruppe” wywodzi się rodowe nazwisko władców koncernu, który wielokrotnie współdziałał w obracaniu świata na perzynę.

Oficjalni biografowie firmy i rodziny twierdzą, że u podstaw oszalałej kariery i fortuny leżała praca, uczciwość, oszczędność. To właśnie ten drewniany domek — symbol, który ma być także idolem...

Prawda jest inna. Najpierw był Arndt Krupp. Stare kroniki miasta Essen już w roku 1599, wspo-



minają o Arndte vel Arnoldzie Krupie jako handlarzu win i wódek, a przede wszystkim — lichwiarzu. Wtedy jest to jeszcze zwyczajny Krupie; przez jedno „p”.

Pomijmy szczegóły genealogii dzisiejszego pana na willi Hügel, mieście Essen i okolicy. Niemniej warto jednak znać szczebel drabiny prowadzącej do miana pierwszej z pierwszych rodzin Niemiec.

Wtedy: handlarz wódki i lichwiarz, potem kolejno — przez odpowiedni mariaż, znaczny mieszczanin, sekretarz miasta Essen (podatki, przywileje) i wreszcie Fryderyk KRUPP. Już przez dwa „p”. W willi Hügel mówią o nim — Wielki. W luksusowym folderze wydanym przez koncern KRUPPA w roku 1961 można przeczytać: „Godnym celem było wztwarzanie stali na kontynencie europejskim. Zadaniu temu Fryderyk Krupp poświęcił swoje zdrowie i majątek, wiązał się ze współnikami, którzy rzekomo posiadali tajemnicę fabrykacji stali tyglowej i dwukrotnie doznawał gorzkiego rozczarowania. Ale ciągle podejmował nowe próby zdany wyłącznie na własne siły. Trzeba było pięciu lat, by uzyskać pierwsze skromne wyniki...”

Trud Szyfła w sielskiej scenie drewnianej chałupiny.

Nieprawda! Najpierw handluje koniami, co wtedy (końce XVIII wieku) jest bardzo intratnym zajęciem. Blokada kontynentalna założona przeciw Napoleonowi odcina Europę od angielskiej stali w Sheffield. Oczywiście Wielki, Fryderyk K. kierują się na stal. — To może być interes!

Poznaje braci Kechel, dokłada się finansowo...

Tak rodzi się „Gustahlfabrik Fried Krupp”.

Jest rok 1811.

Zysk przeplata się z plagą. Więc — dalsze machinacje finansowe, spółki i mniej lub bardziej trwałe sojusze, lub walka z konkurentami; na śmierć i życie. Z Kechelami załatwia się krótko: wyrzuca na esencki bruk.

Mimo wszystko, Wielki Fryderyk K. (ulubione imię Kruppów) nie przezwalał kariery rodziny, której podwaliny sam stworzył.

Jest rok 1862.

Otto von Bismarck wypowiada owo słynne, wielokrotnie powtarzane później zdanie: „Nie przemowy i uchwały większości, lecz krew i żelazo rozstrzygać będą o naszych czasach”.

Słowa te to woda na młyn Kruppa. Na rodzinnym tronie esenckiego królestwa zasiada wtedy Alfred, Fryderyk K. Krew i żelazo! — woła Bismarck. Krew i żelazo mają zrodzić chwałę Niemiec.

Akuzatorem jest KRUPP. W jego fabrykach pracuje już nie 60—70 robotników, Bismarck i Wilhelm wołają o stal, jest nowa, wspaniała koniunktura! Wtedy?

Rok 1857 — ponad 1.000 pracowników

„ 1861 — „ 2.000 „

„ 1864 — „ 4.000 „

„ 1865 — „ 8.000 „

Jest rok 1871: armaty i stal, stal i armaty.

Jest rok 1914: armaty i stal — od KRUPPA.

Jest rok 1936: w rodzinnej spóźniej z okazji urodzin Gustawa Kruppa bierze udział Adolf Hitler. W serdecznych słowach dziękuje za udział „rodziny” w budowaniu militarnej potęgi III Rzeszy. Później będzie dziękował za „Tygrysy” i „Pantery”, za najcięższe kolejowe działa, owe „ryczące krowy”...

Jest rok 1945.

Wydaje się, że przyszedł koniec.

Jest rok 1948. W Norymberdze. Międzynarodowy Trybunał skazuje Alfreda II Kruppa na 12 lat więzienia i konfiskatę całego majątku. Sentencja wyroku brzmi: ZERODNIARZ WOJENNY.

Koniec?

W nagłówkach gazet z tamtych lat łatwo odnajdziecie te depesze. Tusta czcionka krzyczy:

„GENERAL CLAY, SZEF ZARZĄDU WOJSKOWEGO AMERYKANSKIEJ STREFY OKUPACYJNEJ W NIEMCZECH NIE ZATWIERDZIŁ WYROKU O KONFISKACIE MAJĄTKU KONCERNU KRUPPA!”

Wreszcie w roku 1951:

„KRUPP — ULASKAWIONY”.

Czym, a raczej kim jest wtedy KRUPP? Postanowienia o dekartelizacji nigdy nie zostały w stosunku do pana na willi Hügel wykonane. Odwrotnie, w roku 1957, Krupp, nie rezygnując z posiadania dotychczasowych swoich kopalni i hut, rozciąga swoje wpływy na zespół Bochumer Verein. Dzisiejsze „królestwo” KRUPPA to kopalnie węgla i rud, zakłady budowy maszyn i konstrukcji stalowych, urządzeń budowlanych i maszyn drogowych, fabryki aparatów elektronicznych, budowy reaktorów atomowych, stocznie, własna firma wa sieć sprzedaży wyrobów KRUPPA, paliw, statków, towarzystwo okrętowe. Łączna liczba zatrudnionych — ok. 102 tysięcy. Roczne obroty firmy przekraczają kwotę 5 MILIARDÓW marek zł! (czyli ok. 1.250 mln dolarów). Ten gigantycznie rozbudowany kolos odzyskał swój wyraz i ma wpływ na kształtowanie sytuacji ekonomicznej nie tylko firmy lecz całej gospodarki a nawet polityki NRF. Nieprzypadkowo ułaskawiono się w Niemczech powiedzenie: KIEDY KRUPP KICHA — NIEMCY SĄ ZAKATARZONE!

Wtedy? Boże, chron Kruppa, Nawet przed migreną.

A Krupp MA KATAR.

Ten olbrzym szokował do ostatnich dni nie tylko gigantycznymi wymiarami swoich marek i obrotów, ale przede wszystkim tym, że było to jedyne, typowe dla wczesnego kapitalizmu PRZEDSIĘBIORSTWO RODZINNE.

Całość należała do Kruppa i TYLKO Kruppa.

Nikt nie śmiał naruszyć tajemnic „królestwa” pana na willi Hügel.

Nie potrzebował nikomu przedstawiać swoich bilansów, rozliczać się z wynikami.

O wszystkim i wszystkich decydował sam szef-paternalista: Alfred II K.

I jego generał pełnomocnik — Berthold Beitz.

Jedni mówią: playboy. Drugi — nowoczesny manager.

BB jest wszędzie. W Nowym Jorku, Tokio, Moskwie, Londynie, Warszawie. W Poznaniu, na MTP, wita się uprzejmie i rozmawia z werwą z polskimi dziennikarzami. Jutro będzie już konferował w New Delhi...

Elastyczny, prężny, elegancki manager-zdobycy. Koncepcja tradycji na rzecz współczesności?

Berthold Beitz spełnia nadzieje. Do Essen płyną coraz to nowe zamówienia z Ameryki Południowej, Indii, Europy, Afryki. Na kompletne obiekty przemysłowe, maszyn, statki, urządzenia.

Może się wydawać, że królestwo KRUPPA znajduje się w stanie kwitnącym,

Włókniarze łódzcy

Dalszy ciąg ze str. 3

1939, kiedy ruch robotniczy i jego działacze — zapoczątkowali, głównie o własnych siłach wiele cennych inicjatyw, rozwiniętych form amatorskich, potrafiła przyciągnąć do współpracy przedstawicieli najlepszej postępowej inteligencji. Nie ma dziś pracy historycznej, obejmującej ostatni okres dziejów naszego społeczeństwa, niezależnie od tego, o jaki aspekt chodzi, która mogłaby pominąć tragiczne lata okupacji hitlerowskiej. MIECZY-SŁAW KOŁODZIEJCZAK daje w oparciu o suche dane statystyczne przejmujący obraz masowej zagłady, nędzy i zniszczenia, jakie dotknęły Łódź w tych latach, szkicując działalność ważniejszych organizacji oporu.

W zamierzeniu redakcji główny akcent monografii spoczywać miał na najbliższych nam, współczesnych sprawach włóknarzy — poświęcono dla tego celu ponad 2/3 objętości książki. Zagadnienia poruszone w tej części publikacji grupują się wokół dwu głównych aspektów życia włóknarzy — ich pracy zawodowej w przemyśle i czasu poza pracą — sprawach bytu, rodziny, odpoczynku, rozrywki, udziału w kulturze. Rany ekonomiczne i strukturalne, w jakich rozwija się praca włóknarzy — ogólne problemy polskiego przemysłu włókienniczego, i jego aktualny stan organizacyjny, przedstawiają dwie kolejne rozprawy — WACIWA FABIENIECZA I CZESŁAWA LEPCZYŃSKIEGO. Wywołania się z nich zarówno obraz wielkich wysiłków włożonych w odbudowę ze zniszczeń wojennych i konieczną modernizację przemysłu włó-

kienniczego, jak i trwałych — mimo wszelkie przemiany — cech tej gałęzi naszej gospodarki wciąż uzależnionej od importu surowców, walczącej o rynki eksportowe.

Cała seria rozdziałów daje wszechstronną analizę stosunków pracy w łódzkim przemyśle włókienniczym: otwiera ją zarys demograficzny pióra naukowego redaktora tomu, EDWARDA ROSSETA, jednego z pionierów badań nad miastem i jego ludnością. Warto przy lekturze tej części książki zwrócić uwagę na charakterystyczne proporcje i tematy. Przemysł włókienniczy zawsze zatrudniał i zatrudnia wiele kobiet — nie może to być więc fakt poświęcenia pracy kobiet specjalnego rozdziału, oparte o szerokie materiały statystyczne, którego autorka jest ZOFIA ZARZYCKA. Można natomiast sądzić, iż dwa rozdziały zajmujące się stanem zdrowia, bezpieczeństwem i higieną zdrowia włóknarzy (autorzy: JERZY NOFER, JANUŚ INDULSKI i DANUTA GŁODER) oraz rozdział o zatrudnieniu starych robotników (autor: ZBIGNIEW MICHAŁ-KIEWICZ) wskazują na rosnącą wagę, praktyczną i teoretyczną problemów troski o pracownika, tej troski, której stała i rzeczywista obecność stanowi przecież o istotnym sensie nowego ustroju.

Inny nie mniej ważny aspekt socjalistycznej organizacji pracy przemysłowej porusza WACŁAW SZUBERT — pisząc o prawnym uregulowaniu sytuacji włóknarzy — i JOLANTA KULPINSKA — podejmując zagadnienie stosunków społecznych w zakładach pracy przemysłu włókienniczego. Ta ostatnia rozprawa uświadamia czytelnikowi, że zakład pracy w nowym ustroju, jak i każda ludzka instytucja nie jest i nie może być układem bezkolizyjnym — stosunki międzyludzkie rodzą i u nas niekiedy konflikty, wywołują powstanie sprzecznych nęli, niezadowolona. Ważna rola nauk społecznych polega tu na trafnej diagnozie przyczyn tych stanów i wspomoczeniu, choćby właśnie organizacją związkowych, w poszukiwaniu właściwych dla obecnego ustroju rozwiązań spraw spornych czy drażniących. Analizę zawodów włókienniczych od strony ich struktury, stan i tendencje na rynku zatrudnienia w Łodzi oraz kluczowe pod wieloma względami problemy płac przynosi praca WITOLDA RZĄDKOWSKIEGO I STANISŁAWA POLAKA.

Następna grupa zagadnień, jakimi zajmuje się monografia dotyczy życia domowego, rodziny włóknarzy. Fizycznym oparciem dla tego życia jest przede wszystkim mieszkanie. Łódź ma pod tym względem zle tradycje, do 1939 r. była siedmiokrotnie niedźsi mieszkaniowej, stan ten pogorszyła jeszcze wojna. Wieloletnie wysiłki podejmowane dla poprawy takiego położenia, osiągnięcia i wciąż jeszcze palące potrzeby przedstawia w swym studium ADAM GINSBERT. O życiu rodzinnym włóknarzy, widzianym głównie od strony kobiet i dzieci, pisze ANTONINA KŁOSKOWSKA I ALEKSANDRA MAJEWSKA, struktury budżetów domowych analizują JOZEF MARCZAK I KAZIMIERZ GŁOWACKI, rosnącą rolę wykształcenia w planach i aspiracjach rodziny włóknarskiej przedstawia ZDZISŁAW KOWALEWSKI, HENRYK DINTER porusza problem ludzi starych, rencistów — ostatni etap życia włóknarza, w którym zresztą też nie traci on kontaktu ze swym dawnym środowiskiem zawodowym.

W coraz to powszechniejszym przeświadczeniu społecznym człowiek współczesny posiada nie tylko prawo do pracy, ale i prawo do czasu wolnego, dobrze zorganizowanego. Umiejętność organizowania tego czasu staje się coraz częściej jedną z miar zarówno jednostki jak i instytucji czy nawet społeczeństwa — czas wolny ściga na siebie uwagę naukowców i działaczy-praktyków. Pod kierunkiem ALEKSANDRA KAMINSKIEGO przeprowadzono w 1963 r. obszerne badania czasu wolnego włóknarzy łódzkich, wyniki tych studiów przedstawia sam ich inicjator i współpracujący z nim zespół, IRENA LEPCZYŃSKA omawia działalność społeczną i oświatową, JOZEF KADZIELSKI korzysta nie ze środków masowego przekazu oraz instytucji kulturalnych. ANDRZEJ NARCZYŃSKI NONAS pisze o sporcie i kulturze fizycznej. Obraz rzeczywiście wykorzystywania przez włóknarzy urlopów pracowniczych, tej wielkiej zdobyczy społecznej, daje SALOMEA KOWALEWSKA. Ostatni rozdział pracy, pióra JOZEF MARCZAKA, poświęcony jest kierunkom działalności i rozwoju Związku Zawodowego Włóknarzy na terenie miasta Łodzi.

Warto odnotować piękną szatę grafi

czną książki, staranność edytorską, niewątpliwą sukces Wydawnictwa Łódzkiego.

Zakres i charakter poruszonych w monografii problemów, obfitość materiałów i danych statystycznych, różnorodność metod badawczych i sposobów prezentacji wyników dociekań, nie pozwalają oczywiście w ramach jednej recenzji na dokonanie czegoś więcej ponad ogólną prezentację publikacji. Dla każdego, kto interesuje się, czy kiedykolwiek będzie interesował się sprawami włóknarzy i miasta Łodzi, stanowić będzie ta książka konieczną i cenną lekturę. Zbiera ona w jednym tomie studia i informacje, których trzeba by żmudnie poszukiwać w rozproszonych specjalistycznych źródłach, utrwała setki faktów, nazwisk i okoliczności, co w kraju o tak burzliwej historii i tylu zniszczonych dokumenciech, jest sprawą doniosłej wagi. Wielkość przedsięwzięcia i jego naturalne trudności nie pozwoliły, rzecz jasna, w pełni zrealizować ambitnego programu redakcji, lektura nasuwa te czy inne uwagi i spostrzeżenia. Środowisko włóknarzy pokazane jest głównie od wewnątrz, jego rola w szerszej społeczności miasta pojawia się tylko marginesowo jako temat rozważań, czemu zresztą trudno się dziwić — praca musiałaby ulec znacznemu powiększeniu. Często są, w różnych rozdziałach, powtórzenia jednych i tych samych danych i informacji, stałe niebezpieczeństwo prac zbiorowych o charakterze monograficznym, słabe na ogół powiązanie części historycznej ze współczesną (badacze współczesności unikają nieraz wyraźnie porównań z przeszłością, zmienia terminologię, zwłaszcza jeśli chodzi o podstawowe pojęcia zawodu. W związku z tą ostatnią sprawą — bardzo skąpo informuje monografia o wysoko kwalifikowanych pracownikach przemysłu, technikach i inżynierach — też przecież należących do zawodowej społeczności włóknarskiej, przynajmniej w naszym obecnym rozumieniu.

Zupełnie pominięto charakterystykę kadry kierowniczej szczebla dyktorskiego. Nie dowiadujemy się niczego o szkołach włóknarskich, przygotowujących do zawodu poza murami fabryk, a przecież rola tych szkół jest dla jakości stosunków obecnych i była w przeszłości (wystarczy przypomnieć

założoną w 1919 Państwową Szkołę Włókienniczą w Łodzi) bardzo poważna. Nie zawsze logiczny wydaje się układ materiału, np. rozdzielenie spraw rodziny od spraw dzieci w rodzinie, które pomieszczone nawet w różnych działach książki. Zdziwila fakt niewykorzystania tak typowych dla polskiej socjologii i od lat skrzętnie zbieranych w Łodzi materiałów biograficznych dających plastyczny obraz życia i spraw środowiska.

Uwagi recenzenta są zresztą w znacznej mierze nie tyle krytyką co sugestią na przyszłość. Wydaje się przecież oczywiste, iż pionierskie przedsięwzięcie, a jest nim bezspornie ta monografia, i jego wyraźny sukces, są tylko początkiem stałej współpracy związkowej z zespołem łódzkich naukowców. Zarówno praca w przemyśle jak i praca naukowa mają przecież, przy swych odmiennościach, charakter ciągły, ukończenie jednego cyklu jest sygnałem dla zaplanowania i podjęcia następnego. Mielimy więc nadzieję, że tak dobry start stanie się bodźcem do nowych wysiłków, do nowych opracowań i nowych publikacji, utrwalając w naszym mieście tak płodną współpracę jego instytucji służących wiedzy z instytucjami i organizacjami ruchu zawodowego w przemyśle.

KAZIMIERZ ŻYGULSKI

Włókniarze łódzcy. Monografia. Wyd. Łódzkie. Łódź, 1966.



Nie bardziej błędnego!
Konjunktura na rynku stali i węgla jest już od dłuższego czasu zła. Ceny stali spadły, a węgiel skutecznie wypierany jest przez ropę. A przecież KRUPP — to w jednej trzeciej kopalnie węgla i stalowni! Wcześniej nadchodzący kryzys dostrzegli inni zachodni Niemcy paternaliści: Flick sprzedał swoje stalownie a dodatkowe kapitały ulokował w przemyśle przetwórczym....

Paradoksem jest, że człowiek, który miał pomnożyć bogactwo i rozszerzyć „królestwo K”, pośrednio przyczynił się do jego upadku.

Nie wystarczy zawrzeć intratny kontrakt. Trzeba go jeszcze sfinansować i doczekać zapłaty. Tutaj należy dodać, że większość transakcji o dostawę kompletnych obiektów — jak to ma miejsce m. in. u Kruppa — jest związana z kredytem, często długoterminowym. W przypadku Kruppa zamówienia kredytowe z reguły stanowiły 25—30 proc. całych obrotów koncernu. Skąd brać środki na ich pokrycie?

Oczywiście — z kredytu bankowego. Krupp jako przedsiębiorstwo „rodzinne” mógł korzystać głównie z kredytów krótkoterminowych, a więc bardzo kosztownych. W roku 1966 zadłużenie koncernu wyniosło 2,5 miliarda marek czyli ok. 560 milionów dolarów! Banki, a przede wszystkim frankfurcki „Ausfuhrkredit” zaczęły się niepokoić o gigantyczną płać.

Tradycja stała się duszą obrozu. Czy tylko dla Kruppa? W kartotekach Biura Pracy NRF zarejestrowanych jest 630 tysięcy bezrobotnych. Krupp zatrudnia 102 tysiące... To już polityka. Boże, chroń kraj „cudu gospodarczego”; Boże, chroń Kruppa!

* * *

Na scenie pojawiają się nowe figury: W pełnym świetle reflektorów — minister gospodarki Bundesrepublik, Schiller: — Ponieważ kryzys w zakładach Kruppa mógłby niezmiennie poważnie odbić się na ekonomice całej NRF, rząd udzielił do 31 grudnia 1968 roku poręki do wysokości 300 milionów marek na sfinansowanie eksportu Kruppa...

To tylko marionetka. Wszystkie nici trzyma w swym ręku ktoś inny, ukryty w ciemności.

Kim jest Hermann Abs? Prezes Deutsche Bank — największego banku NRF, prezes Lufthansy i niemieckich kolei, kieruje firmą Daimler-Benz, zasiada z decydującym głosem u Siemensu i Halske'go tudzież w kilkudziesięciu innych firmach NRF. Reprezentuje kapitał finansowy wynoszący ok. 80 miliardów marek, tzn. 20 miliardów dolarów.

I to on dyktuje warunki: Krupp musi się zreorganizować; W tej sprawie porozumie się i ustali szczegóły z bankami; Krupp stanie się towarzystwem akcyjnym.

Na czele koncernu stanie rada, w której dwa pierwsze miejsca zajmie kto? — Oczywiście — J. H. Abs, czyli prezes Deutsche Bank i Werner Krueger, prezes Dresdner Bank z Düsseldorfu.

Wielki kapitał finansowy pochłoniął kapitał rodzinny. Rekin pożarł zapóźnionego w rozwoju, jakby nie z tego świata wieloryba. Boże, chroń Kruppa...

Kto sięga po chusteczki? Złe dostosowany zamienił się w dobrze zorganizowany koncern. To tylko zmiana warty.

Choć tym razem w willi Hügela nie zabrzmi okrzyk: Le roi est mort! Vive le roi!

FELIKS BĄBOL

JEDEN DZIEŃ przewodniczącego

Co wybory u „Próchnika” to wybierają Dutkiewicza. Już od 7 lat jest przewodniczącym. Tym się jednak różni od niektórych kolegów po funkcji z innych fabryk, że go tu wszyscy bardzo dobrze znają. Bo przyszedł z produkcji. Nie jest człowiekiem, który latami siedział za biurkiem, ani też kimś nowym, takim co to zabajeruje tego lub innego, uśmiechnie się kiedy trzeba, w rezultacie — w dniu wyborów, gdy nie ma innych kandydatów — wskazują na niego, bo podobno „aktywny”.

U „Próchnika”, znanej w całym kraju łódzkiej odzieżowce jeden dzień przewodniczącego rady robotniczej niepodobny jest do drugiego. Bo nieustannie trzeba łączyć sprawy zawodowe (Dutkiewicz, kieruje technologicznym przygotowaniem produkcji) ze społecznymi sprawami samorządu, czyli z losem tej fabryki i jej załogi. I jedno i drugie są tak różnorodne, że wymagają każdego dnia świeżej głowy. Tego dnia gdy tylko przystąpił do „rozpracowywania” dwóch nowych modeli męskich płaszczy, zjawił się ze swoją sprawą Jan Tarka.

Tarka jest tu brakarzem. Wraz z rodziną (4 osoby) zajmuje izbę o powierzchni 13 m kwadratowych. Duszą mu w niej ale ciepło, bo tyle odchłód pod jednym małym dachem. Po latach jednak zmęczyło go to. Gdy wreszcie dowiedział się, że nie przyszedł na mieszkanie kwaterunkowego, poszedł do „Lokatora”. Ale i tu nie czekała na niego z kluczem i tu trzeba czekać nieraz latami, aż się wejdzie na listę przydziału. Tarka ma za sobą całą udrękę feralnych 13 metrów, więc sądzi, że przewodniczący mu pomoże i te klucze przybliży w czasie.

Dutkiewicz słuchał tego co mu mówił Tarka, przyrzekł „zobaczyć co można zrobić” i słuchał dalej cierpliwie, choć sam wiedział, że cudów nie ma nawet w „Lokatorze” i że każdy chciałby już, jego drugą duszą — kierownika zespołu technologicznego tkwiła już w tych dwóch nowych płaszczach, które „Próchnik” będzie robił i we wszystkich szczegółach tej produkcji. Np. „rozmiarowzrosty” — te płaszcze będą ich mieć aż 40, czyli wszystkie warianty od numeru 42 na 160 do 56 na 190. Tych wysokich numeracji robiono ostatnio ciągle za mało, gdy więc coraz częściej nadchodziły skargi, że drogale w Polsce nie mają w co się ubrać, fabryka podniosła górą granicę rozmiarów.

Oprócz tego — sprawy zmian w modelach zgłoszonych w ostatniej chwili przez handel: a to poly nie takie, a to szerokość kołnierza, naski, kłapy. O tych dwóch modelach, które będą produkowane wielkoseryjnie (15 i 30 tys. sztuk), nie można jednak myśleć zbyt długo. Oto nadchodzi do zespołu dwa inne modele — tym razem małe serie, dla CDT w Warszawie, dla Katowic i nieco dla Łodzi. Płaszcze będą z elanobawełny laminowanej, w seriach po 500 szt.,

brazowe i ciemnozielone, fason reglan, jeden model zapinany pod szyję, drugi z kłapami.

Z modelami i ich „rozpracowywaniem” na taśmę produkcyjną trzeba jednak już kończyć, gdyż w jednym z zespołów wybuchła „sprawa ludzka”. Robotnik stał się z majstrem, więc zaszumiało w zespole tak, że natychmiast trzeba było interweniować. Przewodniczący nie działa sam, na miejsce udaje się wraz z kimś z POP i rady zakładowej. W tych sprawach działać najtrudniej, bo nawet jeśli robotnik ma rację, to jak „ustawić” majstra, by ten robotnik otrzymał satysfakcję, a majster nie utracił niezbędnego w pracy autorytetu?

Podobnych starć jest ostatnio coraz mniej, gdyż rada robotnicza i pozostali partnerzy w samorządzie zaadaptowali od dyrekcji zwolnienia kwarcy.

ZPO IM. PRÓCHNIKA W ŁODZI:
1108 ludzi, w tym kobiet 764
pośrednio przy produkcji zatrudnionych jest 200 osób
przeciętny wiek załogi ostatnio obniżył się nieco i wynosi 40 lat
przeciętne zarobki — 2.000 zł

talnych zebrani w każdym zespole. Ludzie mogą się na nich wygadać, wyskarżyć, spięć i konflikty rozstrzygają się.

* * *

W fabryce zjawili się tego dnia posłowie z sejmowej komisji handlu zagranicznego, badający sprawy o placalności eksportu oraz problem: jak działać eksportowe premie. Wiele przewodniczący wraz z innymi ludźmi z kierownictwa musiał i na to spotkanie znaleźć trochę czasu. A w radzie czekała na niego sprawa krawca Forsyaka.

Komisja lekarska zaleciła przeniesienie Forsyaka do pracy lżejszej, ale takiej, która by zapewniała mu ruchy mięśni brzucha, przy której można i postać i pochodzić. A nawet posiedzieć od czasu do czasu. A to nie takie proste. Tego dnia okazało się, że kolejny eksperyment z Forsyakiem zawiódł. Oto w krawalni, dokąd go skierowano, Forsyaki musiał się przechylać przez stół, co powoduje ucisk na brzuch, a to dla niego niewskazane. Poprzednie próby znalezienia odpowiedniej funkcji rów-

PRODUKCJA:

plaszczu wełnianego, z wełny laminowanej (40 proc.), gabardyny i popeliny (na eksport), popeliny laminowanej, elanobawełny

W 1966 roku wyprodukowano 371.093 płaszcze, z czego prawie co trzeci poszedł za granicę

Wzórów, fasonów, modeli było 104

Eksport — do Związku Radzieckiego, Francji, Anglii, Kanady, Libii i Etiopii.

niez skończyli się flakiem. Przy maszynie do prasowania wszystko już było dobrze, bo i posiedzieć trochę można i wyprostować kości, ale żelazko popsuło sprawę — waży 5 kg, a to za wiele jak na dolegliwości Forsyaka. Wreszcie zaproponowano mu pracę w portierni — i to na nie, gdyż portierzy pracują po 12 godzin.

I tego dnia sprawa krawca Forsyaka zaczęła się od początku.

Zaangażowała i radę robotniczą i związek, organizację partyjną i całą dyrekcję. Wszyscy szukają pracy dla krawca, bo przecież trzeba mu pomóc. Trudno pomóc i tym kilkunastu ludziom, którzy otrzymali mieszkania z kwaterunku i którzy nie mają pieniędzy na kaucję i sanitaria. Przychodzą do przewodniczącego, żeby coś uszczknął z funduszu zakładowego, niektórzy z nich są nadburdą w ciężkiej sytuacji materialnej, zresztą kwaterunek nie daje już mieszkań tym, których stać na spółdzielnię. Przychodzą do rady, a jej przewodniczący jest bezradny. Z funduszu zakładowym jest tak: dostaniesz z niego zapomóg na wkład członkowski do spółdzielni, ale w przepłacie nie się nie mówi o zapomogach lub długoterminowych pożyczkach dla tych, nad którymi z konieczności ulitował się ojciec miasta i którzy — rozumując logicznie — bardziej jeszcze zasługują na pomoc swego zakładu pracy.

Gdy Dutkiewicz mówił o swej roli w fabryce, często wracał do problemu luk w zarządzaniu, których jakoś nie ma komu wypełnić, chociaż życie ciągle do tego prowokuje.

U siebie — w zespole, którym kieruje trzeba było zająć się sprawą kontroli zużycia tkanin przy wykończonych, nadeszły ankiety wypełnione przez ludzi z poszczególnych oddziałów na temat „co bym chciał zmienić na lepsze w fabryce?” (w sam raz po VII Plenum), kolejna interwencja w sprawie guzików, które choć są tylko guzikami, poważnie ważą na estetyce płaszczy. U siebie — w radzie robotniczej — były następne sprawy do załatwienia. Ustawa mówi o trosce rad o wyniki gospodarcze przedsiębiorstwa, nie wolno więc gospodarzowi przespać niczego. Dutkiewicz tak się przejął tą społeczną odpowiedzialnością za ekonomikę fabryki, że czasem nie czeka na innych z pomysłami. To on np. był autorem wniosku w sprawie podniesienia planu produkcji na rok bieżący o 300 tys. zł. Nikt w fabryce nie miał do niego o to pretensji, że tak wyśrubował zadania, gdyż ów przyrost wartości osiągnięty przez prosty zabieg — szycie ręczne tzw. kozerek (części kołnierza) zamiast się na maszynowe.

Na pytania ankietów odpowiedziało 170 osób, wnioski zaś były różne. „Wydzielili szycie drobnych elementów, aby szwaczki specjalizowały się w większych operacjach, a nie zajmowały detalami”. „Ogłaszać przez radiowęzeł tych, co się spóźniają i psują robotę zespołu”. „Ludzie są różnego zdania i różnej siły. Jeden przychodzi do fabryki by pracować, inny — żeby pogadać...” Myślenie o interesie całej fabryki miesza się w tej ankiecie z filozofią, sporo jednak wniosków pójdzie na warsztat i chyba da efekty gospodarcze.

* * *

Rozmawialiśmy też tego dnia z przewodniczącym o autorytecie rady robotniczej. Tym większy on im rada i jej przewodniczący tkwią bliżej żywotnych spraw załogi. Gdy zatwierdza się okresowe zadania produkcyjne dla poszczególnych komórek organizacyjnych, przewodniczący bada je dokładnie, niektóre zadania przyspiesza, inne przesuwa na później, często musi się o to czy o tamto wyklócać w administracji. Ludzie o tym słyszą, więc dostrzegają radę robotniczą. Chociaż często w dyskusjach z administracją radę ma nie przewodniczący rady, a dyrekcja. Nie miał jej Dutkiewicz, np. gdy zaproponował zmniejszenie najniższej premii za eksport, tak, aby mogło ją otrzymać więcej ludzi. Przecisł mowił, że najniższą nagrodę za eksport wynosi 600 zł i daremnie były argumenty przewodniczącego. Dyrektor twierdził, że przepisu, bo to chyba jeden ze słusznych przepisów: żeby premia była bodźcem, musi być w jakiejś odczuwalnej przez człowieka wysokości.

— I administracja jeśli chce, może zwiększać autorytet samorządu — mówił przewodniczący. — Ale dyrektorowi nie wolno narzucać swej woli radzie w sprawach dyskusyjnych czy mniej jasnych. Może panu powiedzieć, że u nas dyrektor nie „gasi” nikogo i to też chyba wpisze na nasz autorytet w oczach załogi.



DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (–) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie. Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcja pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łódzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Od-głosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	–
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zaznaczenia ekonomiczne		
problemy obywatelskie		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Od-głosach”?

Nazwisko i imię

wiek

zawód

adres



Rys. A. Grun

NOTATKI ZE SZKICOWNIKA

ŚMIERĆ LASU

Jeszcze bukiem nie spadła, drzewa nie wyliniały... Jeszcze stuk żołyń rozlegał się w ciszy południa, jakby to było lato, nie jesień, a już rozpoczęły się lodowate ciągi wiatrów.

Lecz po zimowej ośmle trzynaście zatrzymał na cieniućkiej gałązce kaliny, przyszyły wesołe roztopy, znowu las rozwinął młode, zielone wity. Wówczas przyszli drwale, zaczęli podrywać gonne pnie, spuszczać je ku rzece.

A potem specjaliści w skórzanych, kowalskich fartuchach, poczęli wygnać na swych stołach pręty do zbrojeń, maszyny zabrały się do dzieła.

Aż wreszcie w swym baraku, na skraju wyrębu, najwyższy dyspozytor rzezi wydał rozkaz wygubienia reszty niewiniątek.

Jak znaki rzymskich legionów, srebrne orły żołdackie maszerującego ku zbuntowanej Dacji, tak błyszczały nad budową samoloty napowietrznej komisji.

„Brychtologia”

Otwieram wytworny tygodnik dla koneserów „Ty i Ja”. A z niego ktoś to patrzy, szerokim uśmiechem świat darząc, pogodnie nam spoglądając, jakby na świecie tym wiele jeszcze nowych rzeczy odkryć można było? Brycht patrzy. Znać go można jeszcze w „Kulturze”, „Życiu Warszawy”, w telewizji, radu, oraz wielu innych miejscach. W Łodzi też bywa, czasami, nierzadko na specjalne zaproszenie. Autor wstąpił nam w oczy nie tylko swoimi książkami, nie tylko reportażami z NRF, które czytają wszyscy, od członków ZLP poprzez nauczycieli, lekarzy, dentystów, robotników, inżynierów aż do dzie-

ci szkolnych, ale także całą swoją osobą, swoją dość już bogatą biografią. A biografia ostatnio u nas nie specjalnie modna... Nie wypada pisarzowi mieć zbyt widocznego życiorysu, zbyt w oczy rzucającej się osobowości. Powinien być raczej duchem bezseleśnym, dla szerokiego mas materializującym się czasem w jubileuszowych wywiadach a pełnym życiem żyjącym tylko w dzieł swoich strukturach. Brycht wyraźnie naruszył zasady aktualnie obowiązującego literackiego savoir-vivre'u, a niektórzy podejrzewają nawet, że uczynił to umyślnie. Zaczyna się wokół niego zarysowywać niewyraźna jeszcze aureola mitu, jako że mit two-

rzy się przez ujawnienie prawdziwych lub urojonych związków twórczości z życiem pisarza. Oczywiście mit, aby dożyć, musi się odleżeć nieco.

Zarzuca się dziś Hemingwayowi jego mit. Oblicza się, w jakim procencie sam go współtworzył. Jedną jest pewne — mit pisarza nie może powstać z niczego. Najpierw muszą być jego książki, które pewna ilość ludzi czyta — bo kogo zainteresuje biografia i osoba pisarza, którego nie czyta nikt lub prawie nikt? Oburzenie się na mity jest rzeczą zabawną — bo czy świat byłby bez nich ciekawszy? Z mit może być nieprawdziwy? A czy o prawdę tu chodzi? Pomyślmy, jaka pozytywna jest taka legenda — jednych fascynuje, innych dźwi lub gorzej, jeszcze innym dostarcza powodu do szperania i sprawowania, wreszcie pobudza do stworzenia antymitu. To mało? A ilu czytelników zyskuje pisarz choćby trochę umietyzacji?

Ostatnia książka Brychta *) zawiera trzy opowiadania, a w każdym z nich mężczyzna zabija kobietę z miłości, dwa razy używając siekiery, a raz —

Tyle słów o śmierci lasu, w którym w zamierzniej przeszłości patrzyliśmy w oczy saren. Tyle lęku o narodziny jeszcze jednego rzeźnego zalewu, na którego przepławkach będą się zabijać kosose, ciągnące na swe gody.

ZAPYTANIE

Te głosniki, pojeżdżające pobudką włoskich koszar, zanotowaną w „Kaprysie” przez Piotra Czajkowskiego; ten ratusz o borych pilastach; ganek nad lukarnami dachów, z którego widać Poprad wpadający do Dunajca, a także można zobaczyć rozległe nadbrzeżne prerie, czarodziejskie sawanny — z jodłami wiecznie zielonymi jak araukarie; ten starodawny rynek, na którym nocą harują psy, nieme jak cienie Elysium, i oplakany światłami jarzeniówek; ta mecenasowa wyżymająca włosy przed fotografią męża, figuranta z akcyzy, szkoda, że nie udużona szaleem w czasie przejażdżki samochodem zamiast Izadory Duncan; ten biedny były sztabkapitan modlący się przed portretem najjaśniejszego — czemuż, zamiast w idyllę, układać się w naszej pamięci w kosmary Grand Guignolu?

SIELANKA ZIMOWA

Dómkę przedmieście, jeszcze niedawno oskubane ze styczniowych opadów, znowu w śniegu. Składnica zielarska na przedmieściu, tydzień temu pachnąca skoszoną łaką, teraz jest obwieśzona stalaktykami lodu; jej szyby są pokryte mroźnymi paprociami jak wystawowa lodówka.

Ale kierownik składnicy w jedno ucho łowiąc huk ognistych wiatrów, gnają-

dla środowisk, stojących na straży niezmuszonych zasad obyczajowych.

W trzecim wreszcie wypadku autor porzuca częściowo konwencję i rąbnąć chce siekierą wprost w moralność kulturową, w „strasznych mieszczan” — ra-bie w nich przy użyciu tych mieszczan syna, z nienawiścią i pasją, rzadko dziś spotykana na wytwornych terenach naszej literatury. To opowiadanie jest jednak najslabsze. Jak zawsze (prócz oczywiście reportażu) wychodzi Brychtowi na niekorzyść porzucenie dystansu, co prowadzi go na śliską drogę sentymentalizmu. Ale przyznać trzeba, że mimo wszystkie słabości, podchwycił on temat dość u nas obecnie zaniedbany, a mający wielką przyszłość — temat kulturowych kryteriów moralnych.

„Sceny miłosne”, podobnie zresztą jak „Suche trawy”, są w sumie lepsze od „Dancin-gu w kwaterze Hilera” — o je-go większej popularności zadecy-dowała przede wszystkim waż-kość tematu. Brycht potrafi świetnie charakteryzować kon-wencje pewnych środowisk, ich moralność, kryteria moralne i język. Jego ogląd jest zawsze oglądem z zewnątrz, nawet gdy mówi sam bohater, jak w „Re-

cyeli w czeluść komina, w drugie — śpiew saganka, ustawionego na rozgrzanej kanonice, żeglujce ku wiosnie jak wielorybnik ku portom Argentyny.

Pani kierowniczka zaś, chuchającą w przeźroczyste kółko na szybie, za którą świat chyba przestał istnieć, bo całkiem zamilkł, siedzi na trójnożnym zydellu, podkaszana czadami jak Pytia.

Okutana w kilka szalów, z nogami wspartymi na gorącej cegle — śpiewa „Pieśń wiosenną” Mendelssohna.

Śpiewa na pohybel śniegom Hammerfistu, lawinom tatrzańskim i biegunowi południowemu, od którego — jak w tej chwili mówią w radiu — zależy rozmieszczenie tego strasznego mroźnego wyżu, co rozpociera się od dorzecza Wołgi po ściany Alp.

MODLITWA STRACHU

Modlitwę z czasów cromwellovskich, odmówioną po raz pierwszy przez lorda Astley przed bitwą pod Edgell, wypowie przerażonym głosem dowódca eskorty morskiej, osłaniającej statki płynące z bronią do Murmańska.

Zanim konwój przybliży się do strefy, na której wyłapia jego elektromagnetyczne echa czułki wrogich radarów, zaś do kabiny dowodzącego posypią się serie pocisków i polem pęknie ciemność, a wraz z jej rozwarciem statki zaczną stawać dęba — załoga słuchać będzie tego lęku, wyrażonego w słowach:

„Panie, Ty wiesz, jakie dziś będziemy mieć zajęcia. Jeśli zapomnimy o Tobie, Ty nie zapomnisz o nas. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”.

lacji” — ponieważ mówi o faktach, których sensu nie rozumie i ponieważ jego język narzuca dystans w stosunku do tego, co mówi. Morderstwo jest u Brychta raczej sprawą obyczajową, niż moralną.

Brycht umieścił się na jednym biegunie naszej prózy, podczas gdy drugi zajmuje prastary polski gatunek literacki — antypowieść analizująca świadomość „od wewnątrz” oraz skłonna do metafor (i czerpania garściami z obcych wzorów). Przyjmuje on pozę „antyliteracką”, wystrzega się aluzji do konwencji literackich; podobnie w reportażach z NRF gra rolę pierwszego naiwnego, przeżywającego swój zagraniczny debiut. Jest to w jednym i drugim wypadku antypozycja, jest to reakcja na literackość części naszej prózy oraz snobowania się na europejskość niektórych naszych zagranicznych reporterów. W tej antypozycji jest niemało odwagi, ponieważ jedną z najtrudniejszych rzeczy jest przełamanie savoir-vivre'u. Niewątpliwie na razie wygrał Brycht na tej antypozycji swoją oryginalność, która już się wyraźnie zarysowała.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

*) A. Brycht, Sceny miłosne, PIW 1967.

JAN KOPROWSKI

KARTKI z podróży

(II)

WYPRAWA do DAMASZKU

Z Bejrutu do stolicy Syrii — Damaszku, mieliśmy jechać przez góry Libanu czyli drogą najkrótszą, bo wynoszącą zaledwie sto kilometrów.

Ale że w górach spadły duże śniegi (zjawisko niezwykle o tej porze roku), przejazd górski zamknięto i pozostała nam jedyna możliwość: droga okrężna przez Trypolis, początkowo wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, później — po przekroczeniu granicy, przez płaskie tereny Syrii, w sumie ponad sześćset kilometrów długiej monotonnej jazdy autem. Pełnia syryjski jest zupełnie inny, niż libański. Liban załudniony gęsto, pełen wzniesień, góry pokryte drzewami. Po wjechaniu na terytorium Syrii wszystko zmieniło się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: przed nami pusta, kamienna równina. Aż do miasta Homs tj. przez dwie setki kilometrów nie napotkaliśmy żadnego osiedla, a na drodze — żadnego człowieka. Jedynie od czasu do czasu minęło nas jakieś auto, jakby zagubione w tych stronach.

Powierzchnia Syrii wynosi 184 479 km kw. i zamieszkuje ją cztery i pół miliona ludzi czyli załudnienie Syrii jest bardzo rzadkie, gdy tymczasem w Libanie na 1 km kw. przypada 169 mieszkańców, co oznacza, że Liban należy do najgęściej załudnionych krajów Bliskiego Wschodu. Taka to już niesprawiedliwa wola losu: jedni mają za wiele, inni — za mało. W Syrii często wybuchają zamachy stanu. Gdy wyjeżdżaliśmy z Bejrutu, żartowano sobie pod naszym adresem: „Uważajcie, Teraz wiosna, ciepło, a to najspokojniejsza pora dla syryjskich przewrótów”. Na szczęście nie takiego się nie wydarzyło i mogliśmy spokojnie i z pełnym zaobserbowaniem zwiedzać stolicę kraju, słuchać opowieści o jego historii i poddać się urokowi legend.

Damaszek. Inaczej przedstawia się, widziany wieczorem, a inaczej dniem, w pełnym blasku słońca. Miasto leży w dolinie, u podnóża gór Antylibanu, wśród pięknych gajów oliwkowych, nad rzeką Baradą, która płynie tutaj aż trzema łożyskami i użyźnia oazę na skraju Pustyni Syryjskiej. Ale góry, otaczające Damaszek, są nagie, pozbawione całkowicie drzew i roślinności. Gdy świeci słońce, wyglądają one widmo. Nasz przewodnik mówi: „Widzicie tę górę na wprost? To jest Kas-siun. Tam Kain zabił Abła i włókł go za włosy”. To „wleczenie za włosy” jest dodatkowym literackim opowiadaniem, ale proszę sobie pomyśleć, jakie wrażenie jego informacja może wywołać na słuchaczach. A tu — przewodnik wskazuje ręką na lewo — słynny szczyt Hermon. Kiedy na szczyt tym stanął Mahomet i ujrzał w dolinie Damaszek, zachwył jego był tak wielki, że wykrzyknął: „Nie, do raju nie przychodził się dwa razy”. Zawrócił i od-szedł. Słuchamy tych opowieści naszego przewodnika, kiwamy głowami, medytujemy. Do Damaszku po-

winni przyjeżdżać poeci, patrzeć, po-dziwiać, może wiersze pisać. Coś w tym musi być, skoro młody uczeń w Nowogródsku, przysły wyszczarodowy, swojemu koleżce wywar-nemu do odpowiedzi — jak głosi le-genda — podrzucił owe żartobliwe słowa:

Niedaleko Damaszku siedzi diabeł na daszku, w kapeluszu czerwonym, kwiatuskami upstrzonym.

Gdzie są święci, muszą być i dia-błowie. Gdy zjedziemy z gór do mia-sta, przewodnik zatrzyma nas przed świątynią, zamienioną dziś na mu-zeum. O, tu, przez to okno — mówi — świętego Pawła, który był uwieczniony, jego uczniowie i zwolennicy spuścili potajemnie nocą na dół w koszu wiklinowym na sznurach. Nie ma innej rady, wchodzimy do środka, a potem na piętro, by przyjrzeć się oknu, które jest za murem od zewnątrz, ale wewnątrz jest otwór i między murami miejsce, w którym mógł zmieścić się kosz z człowiekiem. Kupujemy małą broszurkę w języku angielskim i wyczytujemy w niej to wszystko, co zdążył nam już z od-powiednią swadą przekazać nasz przewodnik. Ale na tym nie koniec dawnych, związanych z Biblią i Ko-ranem opowieści. Czeka nas jeszcze najwięcej w świecie i najstarszy zabytek miasta — meczet Omajja-dów, wybudowany za czasów świet-ności tego kalifatu, z grobem i kaplicą św. Jana Chrzciciela, wewnątrz. Zdejmujemy buty i trzyma-jac je w ręku, przechodzimy na wielki dziedziniec, otoczony arkadami. Tu znowu możemy buty włożyć. Czynimy to pośpiesznie, bo beton zimny i twardy. Na jednej ze ścian zewnętrznych mozaika przed-stawiająca raj. Dziwnie sobie wy-obrazano raj: wysokie mury i bramy, rzeka, palmy i pawie z puszy-stymi ogonami. Tę mozaikę wykona-

li, sprowadzeni przez kalifa Wali-da, greccy rzemieślnicy gdzieś oko-ło 700 roku. Przyglądamy się temu rajowi, ale nie powiem, żeby nas do niego kusilo. Zanim przypomi-na życie na ziemi, więc po co się do niego spieszyć.

Zadzieramy oczy w górę: trzy strzeliste minarety, z których muez-zini już o czwartej nad ranem wy-spiewują swoje modły. Przewodnik objaśnia: „Gdy oni zaczęli, odzywa-ją się śpiewy muezzinów we wszyst-kich meczetach miasta i przez pół godziny jest tak głośno, że cały Da-maszek nie śpi”. Już za kilkanaście godzin mieliśmy się o tym przeko-nać sami, gdy wyrwały nas z gło-bokiego snu zawodzące żalostliwie, monotonne pienia mahometańskich kapłanów. Myślimy sobie krzywdowa-li, ale wierni czekają dzień w dzień a raczej noc w noc na te święte sygnały.

Znowu zdejmujemy buty i wcho-dzimy do wielkiej świątyni. Podło-gą załana sebkami wzorzystych prze-pięknych dywanów. Wysokie kolum ny, posrodku wspomniana kaplica i grób św. Jana Chrzciciela. Idziemy powoli i rozglądamy się na strony. Oto kilku wiernych klęcząc pochyla się nad Koranem. Są skupieni, jak-by pogrążeni w ekstazie. Na innym miejscu paru młodych siedzi i coś czyta. Informujemy się, co to za jed-ni. To studenci. Przychodzą tutaj, by się uczyć. Idealne warunki: ci-sza, spokój, tyle że chłodno, ale oni do tego przyzwyczajeni. Jeszcze da-lej grupka ludzi starych. Nie czyta-ją i nie modlą się. Więc co tutaj ro-bią? Po prostu odpoczywają. Jeden z głową lekko pochyloną do przodu, znaczy się — drzemie. Dziwny się, ale widocznie to nie zdrożnego, widocznie tak można, skoro przycho-dzą tu, by siedzieć, drzeć i odpoczy-wać.

Ktoś kiedyś powiedział, czy może

napisać (sam już nie pamiętam), że Damaszek jest lornetą, przez którą można zobaczyć epokę starożytną. Z pewnością. Przecież tutaj, po zdobyciu Syrii, rezydował Pompe-jusz, który w 62 r. przed naszą erą dokonał podziału świata arabskiego. Tutaj byli Persowie, a ce-sarz rzymski Teodozjusz I Wiel-ki (379–395) dał się poznać nie tylko przez to, że zabronił wstępu do świątyni i składania ofiar, ale nad-to zburzył jedną z nich, przez Sy-ryjczyków uznaną za najpiękniejszą.

Zmęczeni historią i starożytno-ścią, porzuciliśmy je na rzecz współ-czesności. Dzień piękny, na ulicach gwar, miasto żyje chwilą dzisiejszą. Pójdźmy i my za tym stru-mieniem ludzkim. Dokąd ten tłum daży? Wiadomo — na bazar, do sta-rej części Damaszku. W języku miejscowym nazywa się to suk. Suk znaczy tyle co targ, a suk to targ. Odbijamy się one codziennie. Wąskie uliczki ciągną się tubylców i przyjezdnych. Ludzie kręcą się we wszystkie strony, przegiskają, spie-szą. Kupują niewiele, lubią jednak chodzić, oglądać towar, pytać o ce-nę, zaspokajać ciekawość. Bazar ma swój układ i porządek. W tej uliczce, uliczce złotniczej, sprzedaje się wyłącznie wyroby ze złota: zegarki, kolbie, bransolety, broszki, pamiątki i przeróżne ozdoby. Sklep-pek obok sklepu, kram obok kramu. W tamtej suk obuwiczy. Same buty — męskie, damskie i dziecię-ce, po domu i na ulicę, ze skóry i miękkie dla domowej wygody. W innej uliczce same materiały: jed-wabie, welna, brokaty. Dla pań i dla panów. Drogie i tanie, do wy-boru, do koloru. Idziemy coraz głę-biej w ten wschodni bazar. A oto suk owocowy. Pomarańcze, man-darynki, banany, daktyle, jabłka.



IANINA BRZOSTOWSKA

ŁĄKI, ŁĘGI...

Łąki, łęgi rozległe
ze smugami żółtej przytulni
na rozlewanej przez wiatr
zielonej grzywie ziemi.

Łączna się w łąkach nurza
Łęczycza pośród gajów
zawilem czoło ma
nie wielkie miasto Podłęże
oplotły węże traw.

Łąki, łęgi rozległe
w ciemność wpatrzone nocami
z motylami swymi kwiatami
z deszczami i śniegami...

staczą się w niziny
przez równiny błędną stadami
zakosami łamiącymi
wstępują na zbocza gór.

Łąki, łęgi rozległe
przeszły przez próby ognia
przez tratowanie czołgów
głogów strzegą na gruzach grodzisk.

Nad Wisłą, i nad Odrą
pod Miśnią pod Budziszynem
ostaniamy kości człowieka
wieńcami łaskawymi.

Łąki, łęgi łączyce —
słowa tworzące obrazy
jeszcze w epoce kamienia
sięgające ku nam kojące
niezmierne dawnym wspomnieniem
trwające we mnie pieśnią
uderzoną toporem czasu
jej krew na moich wargach:
łęgi łączyce

Słowianie.

KARTKI z podróży

Wiazki mandarynek z zielonymi
liśćmi, może wczoraj, a może do-
piero dziś rano zerwane z drzewa.
Pełno ich w sklepach i pełno na
ulicy, przed sklepami. W słońcu,
które tu właśnie zagląda, nabiera-
ją intensywniejszych barw: złocą
się i żółcą, mienia się w blaskach
słonecznych promieni. Przystajemy
przy sklepach i straganach, mówią-
my między sobą po polsku. Sprze-
dawcy chcą koniecznie zgadnąć, co
my co za języczki, skąd z jakiego kra-
ju jesteśmy, Bulgare, Russe, Polo-
nais? — pytają. Uśmiechamy się i
nie odpowiadamy. To podnieca ich
ciekawość. Wychodzą ze sklepików,
zza straganów. Zachęcają nas na
wypróbkę do siebie, omal nie chwy-
tają za polny marynarek. Oferują
wszystko, co mają. Kiedy ich wy-
mijamy, zatrzymują się nagłe, sto-
ją, patrzą za nami melancholijnie.
Żył z nas klienci: przechodzą, pa-
trzą a nie kupują.

Codziennie sukni w Damaszku gro-
madzą wszystko, co się tutaj wy-
tworzyło, co się tutaj wyprodukowało:
dywany i bur-
ny, przedmioty ze srebra i złota,
wyroby z miedzi i brązu, drzewa
i skóry. Chyba tak wyglądał daw-
ny perski rynek. Tyle, że ten jest
pod dachem. Niektóre uliczki zam-
knięte od góry, pod wysokim skle-
pieniem ze szkła czy tylko z bla-
chy, sam nie wiem. Tutaj, do
tych wąskich długich uliczek spły-
wa cały Damaszek, a w każdym
razie znaczna część jego mieszkań-
ców. W naszej wędrowce dotarli-
śmy nawet do właściciela jednej w
tym mieście manufaktury. Przyjął
nas serdecznie. Wprowadził do wne-
trza, pokazał warsztaty, muzeum,
jakie posiada. Ma nawet specjal-
nych przewodników dla cudzoziem-
ców. Oto zagaduje do nas młody
mężczyzna po niemiecku, a już za
chwilę zjawia się młoda kobieta,
władająca nienaganną angielszczy-
zną. Gdyby to było potrzebne —

przyszedłby ktoś z językiem fran-
cuskim, rosyjskim, czy ja wiem —
z jakim jeszcze! Manufaktura wy-
rabia nie tylko brokaty. Także wy-
roby ze złota, także ozdobne in-
krustowane szkatułki, mosiężne ta-
lerze, medalliony. A wszystko robo-
ta rękodzielnicza, wykonana arty-
stycznie, ze smakiem i wyczuciem,
właściwym znakomitym rzemieślni-
kom. Kilka izb z wyszukany mi-
blami, każda — innym stylu —
przeznaczone dla wypoczynku. Przy-
jemny chłodek. Siadamy na chwile.
Trzeba uporządkować wrażenia,
pomyśleć chwilę, zamienić parę słów
z właścicielem, wyrazić mu podziw
i podziękować. A jest za co.

* * *

Mieliśmy szczęście. W dzień na-
szego powrotu do Bejrutu otworzo-
no drogę górską. Wróciliśmy więc
przez Antyliban i dolinę Bekaa.
Dolina Bekaa należy już do Liba-
nu. Jest to żyzna i urodzajna część
tego kraju. Rosną tu drzewa owo-
cowe i udają się plody ziemne.
Mówią: Bekaa to śpichrz Libanu.
Chętnie wierzę. Jest koniec mar-
ca, wiosna. W dolinie Bekaa zieleni-
no. A w górach duże warstwy śnie-
gu. Na wysokich przełęczach gór
libańskich przeżyliśmy godzinę gro-
zy. Ktoś mógł przewidzieć tam, w
dolinie, że kretyni drogami wzdłuż
przepaści poleci dziś tyle aut oso-
bowych i ciężarowych w obydwie
strony. Wielka karawana transpor-
towa z Jordanią przeprawia się
tędy w kierunku na Damazek.
Ogromne ciężarowe auta zajmują
więcej niż połowę drogi. Obok nich
w odwrotną stronę na Bejrut, prze-
suwają się wozy osobowe. Jeden
za drugim, prawie bez przerwy.
Przejazd trudny i niebezpieczny.
Cóż z tego, skoro kierowcy arabscy
nie zważają na żadne przepisy. Na-
rzekamy na kierowców w Polsce.

Zapewne w wielu wypadkach szus-
nie. Nie można jednak naszej pol-
skiej sytuacji porównać z tym, co
działo się owego marcowego dnia na
przełęczu libańskiej. Gdy tylko
powstała jakaś mała luka między
wozami, wciskał się w nią niecier-
pliwy kierowca, tarasował drogę,
tworzył korek, ludzie wyskakowa-
li z aut, pomstowali, skakali z pie-
śniami do bicia. Milicja, która w
dniu otwarcia górskiej drogi, pil-
nowała porządku, nie mogła dać
sobie rady. Jechaliśmy nad prze-
pasciami, na wysokości dwóch ty-
sięcy metrów, z duszą na ramieniu,
za nami i przed nami kierowcy bez
wyobraźni, czy szaleńcy? Każdy
chce być pierwszy, każdy pragnie
za wszelką cenę wyprzedzić się z
tego zamkniętego łańcucha aut.
Perswazja i rozsadek na nic się nie
zadają. Gdy wymija nas jakiś kie-
rowca, pukamy się w czoło, czy
to nie wariat. On robi to samo,
uważając nas za wariatów. Tylko
absolutny spokój może nas uratować.
Ale jak zachować spokój w
tym szaleństwie, w górach na skra-
ju przepaści? Jesteśmy mokrzy od
potu, zdenerwowani, bliscy rozpa-
ty. Siedzę przy oknie, lecz boję
się spojrzeć w dół. Nie mam od-
wagi. Ktoś mówi, że na dnie prze-
pasci leżą roztrzaskane auta. Czy
to z naszej kolumny, czy z po-
przedniej? Nasz kierowca jedzie po-
woli i w milczeniu. Moge sobie
wyobrazić, co się z nim dzieje. Je-
go kanienny spokój pomaga nam
przetłumaczyć najgorsze momenty.
W normalnych warunkach przebyli-
byśmy tę drogę w godzinę. Dziś
jechaliśmy cztery bity godziny.

Gdyśmy się znaleźli w Bejrucie,
kierowca powiedział: „Panowie, to
cud, że jesteśmy zdrowi i cali”.
Nikt nie nie mówił. Rozeszliśmy się
w milczeniu. Tego powrotu z Da-
maszku do Bejrutu przez górską
przełęcz żaden z nas nie zapomni.

STANISŁAW KASZYŃSKI

SKŁADAJĄC HOŁD REYMONTOWI...

Inicjatywa społeczna jako działanie
ludzi wrażliwych na sprawy i zjawis-
ka, nie mające nie wspólnego z ich
prywatnym, niekiedy małosłownym
interesem, podziwiał — bywał bywał
— smieszny ambicjami, zdobyła so-
bie od dawna prawo obywatelstwa, w
społeczeństwie socjalistycznym nato-
miast urosła do rangi ważkiego inspi-
ratora życia zbiorowego. Mnożył by moż-
na przykłady, liczne i rozmaite, wy-
korzystania tego potencjału, cennej
energii, do celów znacznych i porwa-
jących. Wielkość czy atrakcyjność ce-
lu leży u podstaw każdej takiej ini-
cjatywy, i nikt wówczas nie szczędzi
czasu ni wysiłku, by doprowadzić rzecz
do zamierzonego końca. Toteż nie
przypadkiem Towarzystwo Przyjaciół
Łodzi, znane na naszym terenie z wie-
lu pożytecznych i konkretnych akcji,
wystąpiło jeszcze w listopadzie ub. r.
z propozycją uświetnienia rocznicy
urodzin W. S. Reymonta, pisarza jakże
żywo i blisko związanego z Łodzią i z
kilkoma miejscami Ziemi Łódzkiej.

Z propozycją przeciwłożył ogólnemu
zrozumieniu, zważywszy, iż Towarzystwo
skupia miłośników miasta, jego histo-
rii; w tym sensie przeto zamiar ob-
chodu tej rocznicy można było uwa-
żać za zwykły obowiązek, za spłatę
długu twórcy, który łódzki region tak
hojnie obdarował. Ze myśli ta spotka-
ła się z natychmiastowym odzewem
wszystkich, było też do przewidzenia:
na pierwsze zebranie (9. XII), na któ-
rym przedstawiono wstępny projekt
uroczystości Reymontowskich, zjawi-
li się delegaci głównych instytucji, zwią-
zków, stowarzyszeń, Uniwersytetu Łódz-
kiego, obu Wydziałów Kultury (miej-
skiego i wojewódzkiego), Kuratorium,
prasy, radia i telewizji itd. W czasie
szerokiej dyskusji, świadczącej o wy-
jątkowo żywym zainteresowaniu spra-
wą, zgłoszono mnóstwo wniosków i
postulatów, obejmujących rozległy za-
kres czynności, jakie należy podjąć,
w ten sposób zaakcentowano potrzebę
całej i wszechstronnej manifestacji
społeczeństwa regionu łódzkiego w sto-
sunku do Pisarza. Od początku przy-
świecała zatem idea uczczenia Rey-
monta w formie szczególnie uroczystej,
a trwałej; a więc podniesiono wcześ-
niej już wysuwany na łamach prasy
projekt wzniesienia pomnika, a nawet
lokowano go na placu nazwanym jego
imieniem, przyjęto jednocześnie pro-
jekt zorganizowania sesji popularno-
naukowej, poświęconej tej twórczości,
podkreślając sensowność opublikowa-
nia rezultatów w odrębnym wydaw-
nictwie, racjonalność również myśli zało-
żenia Domu Literatury im. W. S. Rey-
monta, gdzie pomieszczone by ponadto
dokumenty i pamiątki pisarza związa-
nych z Łodzią (T. Miciński, A. Strug,
Z. Bartkiewicz, W. Wandurski, J. Tu-
wim); podobno ten ostatni projekt
wyszły z Oddziału Łódzkiego ZLP jest
nieodległą realizacją. Wreszcie rozwa-
niono możliwość przeprowadzenia central-
nych uroczystości Reymontowskich w
Łodzi, co uznano za rzecz w pełni
usprawiedliwioną. Nie wspominał tu
wielu niezmiernie cennych pomysłów,
impres towarzyszących, cennych i nie-
zbędnych, jak: szeroka akcja odczyto-
wa, prowadzona przez wszystkie in-
stytucje, zajmujące się normalnie popu-
laryzacją literatury i sztuki, np. tylko
Wojewódzka Komisja Związków Za-
wodowych zadeklarowała urządzenie
250 wystaw i odczytów w podległych
jej placówkach (do akcji odczytowej
włączył się Wydział Kultury miasta
i województwa, Łódzkie Towarzystwo
Naukowe, ZLP, ZMS, ZMW, „Dom
Książki”) — prof. Z. Skwarczyński za-
proponował przygotowanie przez Wy-
twórnię Filmów Oświatowych krótko-
metrażowego filmu o Reymontcie; film
ten, nb. został już zrealizowany („Pa-
łace Ziemi Obiecanej”), Prof. M. Or-
licz podniósł kwestię adaptacji utwo-
rów pisarza (np. trylogii historycznej),
T. Papier przekonywał o uzasadnieniu
celowości wybita znaczka z podobizną
Reymonta, znaczek taki byłby nada-
wany wyróżniającym się uczniom.
Młodzieżowy Dom Kultury zobowiązał
się przeprowadzić konkurs recytacji
prozy autora „Chłopów”. Itd. itd.

Jak widać, już plan pierwszego po-
siadania był nadzwyczaj bogaty. Po-
nowie zebrano się — w rozszerzonym
gronie, m. in. z udziałem przedstawici-
ela KŁ PZPR — w kilka tygodni póź-
niej (29. XII, ub. r.). Tymczasowy Kom-
itet Organizacyjny (przewodził
mu prof. Z. Skwarczyński) wykonał
spośród siebie szereg komisji (Budowy
Pomnika, Sesji Popularno-Naukowej,
Propagandy, Artystycznej, Wydawniczej
i Finansowej), jej przewodniczący mieli
za zadanie przygotować dokładne pla-
ny wraz z kosztorysami. Konkretnie
już sformułowane wnioski przedstawio-
no na następnym posiedzeniu (10. I.
br.). Po dyskusji postanowiono przyjąć
następujący plan działania:

1. Organizację Centralnej Akademii
w maju br. (odpowiedzialny za rea-
lizację Wydział Kultury PRN m.
Łodzi);
2. Sesję Popularno-Naukową (z cze-
sternymi referatami pracowników nau-
kowych UL) w Lipcach; odpowie-
dzialny za realizację Wydział Kul-
tury WRN;
3. Ze względu na znaczne koszty bu-
dowy pomnika, zdecydowano się
podjąć tylko wstępne czynności,
zmierzające (w pierwszym etapie)
do położenia kamienia węgielnego;
ponadto zgłoszono także propozycję
oraz przedsięwzięcia:
1. Nadanie imienia W. S. Reymonta
Powiatowemu Domowi Kultury w
Radomsku;
2. Spółdzielni Mieszkaniowej „Loka-
tor” ufunduje tablicę na Osiedlu
im. W. S. Reymonta (Łódź — Teo-
filów);
3. Odświeżenie popiersia w szkole im.
W. S. Reymonta w Lipcach;
4. Odświeżenie odbudowanego pomnika
w Małkowie k. Warty;



Kółko Reymontowski

5. Odświeżenie obelisku w Kobieliach
Wielkich;
6. Realizacja programu poetyckiego
„Chwila z Reymontem” (Estrada
Łódzka);
7. Wystawy: Biblioteka UL, Bibliote-
ka Publiczna im. L. Waryńskiego, „Ru-
ch” (wystawa obładowa) oraz
wspomniana akcja wystawowa
WKZZ;
8. Łódzka Drukarnia Dzielowa wysu-
nęła propozycję nazwania swej
drukarni im. W. S. Reymonta;
9. Wydawnictwo Łódzkie wyda cze-
tery pozycje, poruszające proble-
matykę Reymontowską (J. Brysz, T.
Goździkiewicz, T. Papier i M. War-
neńska);
10. Telewizja Łódzka i Łódzka Roz-
głosnia PR przygotują szereg pro-
gramów związanych z rocznicą,
m. in. T. Szewera opracował adap-
tację radiową jednej z nowel Rey-
monta (nadana w marcu), w telewi-
zji przygotowuje się adaptację
„Ziemi Obiecanej”;
11. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przy-
gotuje okolicznościowy plakat, zor-
ganizuje nadto (z Pałacem Młodzie-
ży im. J. Tuwima) szereg wydie-
czek autokarowych zlakiem Rey-
monta — dla dorosłych i dla mło-
dzieży szkolnej.

W Memoriale Tymczasowego Kom-
itetu Organizacyjnego, złożonym na-
stępnie władzom miasta i wojewódz-
twa, czytamy:

„Prezentując wstępny etap prac Kom-
itetu oraz wyniki z rozległej ini-
cjatywy społecznej propozycje obcho-
du, odpowiednio do znaczenia W. S.
Reymonta dla naszego miasta i re-
gionu — prosimy o zatwierdzenie dzia-
łalności Komitetu i poparcie jej”.

Z prawdziwą satysfakcją musimy po-
wiedzieć, iż wysiłki Komitetu Organi-
zacyjnego, jego plan, został w pokar-
nej części zaakceptowany przez Mi-
nistra Kultury i Sztuki, wszedł też do
„Zestawienia zbiorczego propozycji ob-
chodów 100-rocznicy urodzin W. Rey-
monta”. A więc uwzględniono w za-
stawieniu: urządzenie w Łodzi cen-
tralnej akademii (6. V, w dniu uro-
dzin pisarza), sesję popularno-nauko-
wą w Lipcach Reymontowskich, po-
łożenie kamienia węgielnego pod po-
mnik Reymonta w Łodzi, odświeżenie
obelisku w Kobieliach Wielkich, popie-
sia w szkole w Lipcach Reymontow-
skich oraz pomnika w Małkowie
k. Warty i film zrealizowany przez
WFO.

Na posiedzeniu w Ministerstwie do-
konano również wyboru Komitetu Ob-
chodów Setnej Rocznic urodzin W. S.
Reymonta; Komitetowi przewodniczy
m. in. L. Motyka, członkami z terenu
naszego miasta i regionu są m. in.
F. Grochalski, przewodniczący PWRN,
E. Kaźmierczak, przewodniczący
PRN m. Łodzi, prof. dr Z. Skwar-
czyński, prezes ZLP — Marian Pie-
chal, M. Nowicka, kierownik Zespo-
łu Domu Kultury w Lipcach.

W dniu 1 kwietnia odbyło się z ini-
cjatywy Wydziałów Kultury miasta i
województwa posiedzenie, poświęcone
omówieniu dalszych poszczególnych
zadaniach z realizacją szeroko omówianego
programu. Przewodzący zebranie, kier.
R. Stefaniak, poinformował, że aka-
demie centralna poprzedza referaty
prof. Z. Krzyżanowskiego, M. Rzeu-
skiej i S. Pigoń; nie można zamysłu-
świećniejszego grona prelegentów —
siła rzeczy naszą sesję popularno-nau-
kową, która ma się odbyć w Lipcach,
— dokładny termin dotąd niestety nie
ustalony — a potem w Piotrkowie i
Radomiu prezentuje się skromniej.
Przewiduje się m. in. referaty na te-
maty życia i twórczości (Reymont
wczoraj i dziś), stosunku R. do cywil-
izacji i natury (na przykładzie twó-
rczości), stylizacji językowej w „Chło-
pach” oraz o pozycji pisarza wobec
kultury ludowej. W przygotowaniu
znajdują się nadto prace o filmowości
prozy R., o ekranizacjach jego
dzieł, o percepcji twórczości w Rosji
i w Związku Radzieckim; pokazy
blok nieznanych listów i cenna ikono-
grafia — zostanie częściowo wykorzy-
stana na wystawie BUL — uzupełnią
dorobek łódzkiego środowiska nauko-
wego, wszystkie te prace ukażą się w
tomie „Prac Polonistycznych”.

Organizatorzy dolażą niewątpliwie
wszelkich starań, aby godnie uczcić
tę ważną rocznicę; tak pięknie rozpo-
częta inicjatywa społeczna gwarantuje
niechybnie powodzenie.

Karol Hiller i Witold Wandurski

Należeli do wspólnego „cechu artystów”, ale każdy z nich reprezentował w nim odmienną dyscyplinę sztuki: jeden był malarzem, drugi — poetą. Oprócz platformy artystycznego porozumienia łączyły ich więzy bliskiej, osobistej przyjaźni, wspólne przekonania i idee, które pozwalały im jednocześnie wysiłki w podejmowanych razem przedsięwzięciach.

W owym czasie takie sojusze i związki artystów nie należały do rzadkości; poszukiwania dwudziestowiecznej awangardy, toteż walki o nową sztukę, toczono już od lat kilkunastu, nie straciły po wojnie nic ze swego dynamizmu, uczyniły je formułą nie-

plikował je w sposób niezmiennie charakterystyczny: niezwykły pejzaż miasta; kontryasty to określały atmosferę miasta, stanowiły o jego istocie. Nieco młodszy od nich Julian Tuwim, tak napisał o mieście ich dzieciństwa i młodości: „Miasto kominów i białych pałaców i małych drewnianych domków, nędzy i milionów: turkotu warsztatów i głuchej ciszy, kiedy zamknięta motory, miasto głodu i przesyty, nudy i monotonii, wiecznych tych samych ludzi i jednokolorowych spraw, ziemia obiecana dla stu, a złe miasto dla pięciuset tysięcy...” To „paradoksalne miasto”, w którym nie było miejsca dla sztuki, wychowani tu artyści mieli

sobie więcej zwierzeń i oświadczeń — o tym okresie powie: „Najpiękniejsze lata swego życia łączę z rokiem 1917—1920, czyli z okresem rewolucji. Ona to właśnie zbudziła mnie do życia, do myślenia, do pisania wreszcie...”. Ten okres także dla Hillera musiał mieć ważne znaczenie.

Powrócili do kraju już jako artyści o poglądach zarysowanych wyraźnie, ale ich właściwa praktyka w służbie sztuki miała się dopiero zacząć. Rozpoczynali od żmudnych poszukiwań twórczych, które u Wandurskiego objęły miały nie tylko poezję, ale także pasjonującą go od dawna dziedzinę sztuki — teatr. Ich pierwsza współpraca na tym właśnie gruncie miała się zawiązać. Zaraz po powrocie, jesienią 1921 roku, przygotował Wandurski dla amatorskich teatrów propozycję inscenizowania podań ludowych, które opublikował w „Teatrze Ludowym” na przełomie lat 1921/1922. Zrywały one wyraźnie z obowiązującym szablonem ludowych widowisk i dotyczyły nie tylko spraw repertuaru, sposobu jego inscenizowania, ale także unowocześnienia i rozbudowania technicznego aparatu sceny amatorskiej, tak by przy pomocy mogła ona sięgać po środki teatralnej ekspresji, do stopnia dotychczas tylko teatrom zawodowym. Chodziło o wykorzystanie ekspresji światła, scenicznej perspektywy, nowoczesnej dekoracji. W tych planach Wandurskiego pomoc Hillera okazała się nieoceniona, dysponował on bowiem zarówno umiejętnościami sporządzania technicznego rysunku, jak i malarskimi. Był on autorem precyzyjnie wykonanych szkiców oświetlenia i przebudowy sceny, systemu za wieszania kotar i ustawiania parawanów, które miały zastąpić na amatorskiej scenie używane dotąd realistyczne dekoracje. Zaprezentował się ponadto jako scenograf, przedstawiając na przykładzie jednego obrazu z podania ludowego „Majdowe łozie” projekt rozwiązania sprawy plastycznej dla tego typu widowisk. Propozycja ta, utrzymana w charakterze nowoczesnej uproszczonej ludowo-basnowej stylizacji, nie była tylko realizacją określonego zamówienia, ujawniała bowiem zupełnie wyraźnie cechy własne temu okresowi malarstwa Hillera. Rzecz charakterystyczna, że ów ludowo-basnowy styl nada później Wandurski, sam nie pozbawiony uzdolnień plastycznych, sporządzając przez siebie oprawy scenograficzne do własnej sztuki **Śmierć na gruszy**.

Rychło jednak uwaga Wandurskiego i Hillera skupić się miała na sprawach kultury rodzinnego miasta. Nie trzeba było długiego czasu, by zorientować się, że jest w tej dziedzinie wiele do zrobienia. Łódź nie miała w dalszym ciągu zorganizowanego środowiska kulturalnego; ci bowiem, którzy mogliby zdziałać w tej mierze niemało (J. Tuwim, J. N. Miller) osiedli już na stałe w Warszawie, pozostali natomiast nie przejawiali większej inicjatywy. Powstał co prawda na wiosnę 1922 roku „cech artystyczny” pod nazwą „Srebrny Wóz”, ale nie zdołał rozwinąć szerszej działalności. Podjęli więc obaj niedawno przybyli do miasta artyści taką próbę zorganizowania ośrodka kulturalnego w Łodzi, jak wiele inicjatyw tego rodzaju, tak i ta miała w przyszłości — i to dość niedalekiej! — zenerować śmiercią naturalną, ale jest ze wszech miar godna odnotowania; ona to bowiem przecierała drogę dla sztuki nowoczesnej w tym mieście tak długo jej niechętnym.

Postanowili pokazać łódzkim twórcom temat, który mógłby stać się spoiwem łączącym rozproszonych dotychczas artystów. Był nim — nie wykorzystany dotąd dostatecznie przez twórców — temat ich własnego miasta, jego odrębność, to co składało się na jego niepowtarzalność, a mianowicie — w swoim rodzaju krajobraz wielkiego przemysłowego ośrodka, rytm nieustannej pracy i ludzi, którzy nadawali charakter temu miastu — robotnicy. Pokazali ten temat w sposób niewątpliwie odkrywczy i nowy, a przy tym w swoistej oryginalnej realizacji.

Oto wybrali się obaj na wędrowkę po mieście, by wspólnie — oczyma malarza i poety — przyjrzeć się Łodzi. Relację z tej wyprawy zdali w obszernym cyklu artykułów pt. „Sztuki plastyczne w Łodzi”, który przez parę niedzieli publikował łódzki dziennik „Głos Polski”. Powstał w

ten sposób zupełnie niezwykły reportaż o mieście. Był on bowiem malarzsko-poetycką prezentacją „tematu” i zarazem sugestią programową, próbą oceny środowiska kulturalnego i wytyczeniem perspektywy, pewną formą analitycznej relacji i jednocześnie próbą syntezy, chęcią pokazania „zewnątrznego piękna Łodzi” i dotarcia do warstw głębszych — „duchy zbiorowej miłości”.

Zafascynowani nowoczesnymi dążeniami w sztuce, spojrzeli na rodzinne miasto w sposób niekonwencjonalny i nietradycyjny, podkreślając te elementy łódzkiej rzeczywistości, które odpowiadały poszukiwaniom współczesnej awangardy w zakresie formy oraz stanowiły jej charakterystyczny krag tematyczny. Odkrywali futurysty Łodzi, jej „naturalny kubizm”. Pisali o tym: „Ogromne, nagie, kanclaste brandmaury. Schematyczne szkielety brunatne domów. Wymukła, surowa gotyka czerwonych kominów fabrycznych — wież pracy ludzkiej. Zwałony arabesko dym gęsty. Ogniste kwadraty ciemnych bloków fabryk, drążących rytmicznie po nocy...”.

Nie był dla nich ów „kubofuturyzm” przyjętą powierzchownie formułą rehabilitującą „dziwną urodę” miasta, ale ta nowatorska tendencja, która tu właśnie mogła mieć szanse nabrania wszelkich cech autentyzmu. Tu bowiem znajennie dla nowej sztuki tematy: fabryka, maszyna, praca, ruch, dynamika, mechanizacja etc. miały okazję stać się nie tylko swoiste egzotycznym elementem utworu, ale adekwatnym odbiciem rzeczywistości. Brak kulturalnych tradycji mógł, ich zdaniem, przyczynić się do propagowania i aklimatyzacji nowych tendencji.

Pragnęli także pokazać „piękno kontrastów starej Łodzi”: barwną egzotykę zaułków Bałut, jarmarczny zgiełk placów targowych, atmosferę łódzkich szynków po „fajerancie”, wreszcie artystyczny prymityw sklepowych szyldów i rzemieślniczą sztukę majstrów murarskich, budujących kominów, każdy według własnej „szkoły”, każdy o innym kapitulu. Sztuka nowoczesna, pisali, sięga także „ku źródłom pierwotnym i ludowej twórczości, tu bowiem pierwiastki zasadnicze malarstwa czystego występują najwyraźniej”.

Mówili też o temacie najczęściej przez artystów przeoczonym: o łódzkim robotniku, o jego nowym typie, „zgoła innym niż obywateli reszty miast Rzeczypospolitej”, doświadczyli go bowiem szczególnie dotkliwie wojenne klęski, zahartowały go i kryzysy ekonomiczne, zmęczona praca narzucała tempo i nieustanny pośpiech.

Ta wszechstronna prezentacja Łodzi jako bogatego źródła tematów dla nowoczesnego artysty, który z „odbić ducha w kształtach materialnych”, wybierze „tylko istotne, podporządkowując całość prawom harmonijnie-rytmicznej kompozycji”, miała wywrzeć pewien wpływ na twórców, znajdując odzwierciedlenie w plastyce i poezji (M. Braun). Grupy silnej i jednolitej o większym znaczeniu nie udało się stworzyć. Złożyło się na to szereg skomplikowanych przyczyn, wśród których niemała rolę odegrały zarówno liczebna słabość łódzkiego ośrodka, jak i charakterystyczny dla Łodzi brak szerszego zainteresowania sztuką. Nie udało się zapewnić tym wysiłkom — a zabiegali o to autorzy przedstawionego programu — stałego mecenatu, koniecznego zwłaszcza w poszukiwaniach nowych i eksperymentatorskich.

Pół roku po ogłoszeniu tych propozycji zarysowały się pewne możliwości ich realizowania, zwłaszcza dla poetów. Od 1923 roku objął Wandurski redakcję działu literackiego w nowo powstałym dzienniku „Republika”. Pragnął tu publikować utwory młodych twórców i informować o tym, co dzieje się w pracowniach malarskich, teatrze, na ekranach kinowych. Karol Hiller zaczął w tym dziele pisać o łódzkim środowisku plastycznym. Nie trwało to jednak długo, po trzech miesiącach redakcja gazety zrezygnowała z ambicji kulturalnych i „pozbyła się literatów”, których postępowe poglądy zaczęły budzić niepokój. Warto bowiem pamiętać, że powszechnie w tym czasie nazywano awangardowych artystów „bolszewikami sztuki”, co dopiero, gdy istota szło to w parze z radykalnymi poglądami społecznymi. Zaprzesła więc Wandurski „oskarżony” o futurizm współpracować z „Re-

publiką”, a po jego odejściu przestały się tam ukazywać także artykuły Hillera.

Program zawarty w cyklu „Sztuki plastyczne w Łodzi” najpełniej udało się zrealizować tylko inicjatorom i to w jednorazowym przedsięwzięciu — wspólnym tomiku poezji i litografii pt. **Sadze i złoto**. Tytuł i pomysł tego zbioru — wydanego dopiero w 1926 roku — powstał już w czasie pisania wspomnianego cyklu, kończył się on następującym stwierdzeniem: „Bo piękno duszy zbiorowej naszego miasta ma dwa organizmy, nie spójne ze sobą czynniki, które ująć by można w formułę: „Sadze i złoto”. W tych bowiem barwach zasadniczych układa się skala wrażeń estetycznych, jakie budzi Łódź”. Na jego całość złożyło się siedemnaście wierszy Wandurskiego i sześć litografii Hillera, powstałych w latach 1922—1924, których wiążącym tematem było przede wszystkim, ale nie wyłącznie, rodzinne miasto. Tak wiersze jak i litografie powstały „niezależnie od siebie — na bruku łódzkim” i wyraźnie były pomyslane jako realizacja określonej koncepcji twórczej. Wyjaśniali to sami autorzy we wstępnej nocie: „Ten sam kompleks, który znalazł odbicie w słowie rytmicznym, realizował się prawie jednocześnie w kompozycji linearnej, w rysunku. Załączone litografie nie ilustrują wierszy: są one równie wierszami linearnymi, w sobie zamkniętymi. Pozwała nam to przypuszczać, że poezja i grafika stanowią w danym przypadku dwugłos zharmonizowany. Słowo i linia wyrósł z pokrewnego podglebia duchowego dwójga ludzi, złączonych węzłem przyjaźni. To nas upoważnia do objęcia naszego dorobku wspólnym tytułem”.

Cykl artykułów o sztukach plastycznych w Łodzi, o próbie innego spojrzenia na rodzinne miasto, zainteresował także „ogromnie” robotników i stał się „przedmiotem debat w kilku związkach”. Nieraz musieli uczestniczyć w nich także autorzy, skoro relacja ta pochodzi od jednego z nich. Stał się on swoistym „podrecznikiem” nowoczesnego wychowania estetycznego robotników, których upodobania — zdaniem Wandurskiego — niewiele odbiegały od gustów drobnomieszczańskich. Trudno już dziś ustalić jaki zasięg miało ich wspólne działanie mające na celu wychowanie

wego i czas nieco późniejszy, a usilne propagowanie nowej estetyki oddziaływało już w tym względzie wiele. Od 1925 roku podjął Hiller współpracę ze Sceną Robotniczą, amatorskim teatrem robotniczym, który działając na terenie Łodzi od 1923 roku zdołał sobie wyrobić opinię sceny rewolucyjnej tak w repertuarze, jak i formie inscenizacji. Organizował go Wandurski, który przez cały czas był czynnym członkiem zespołu, pełniąc w nim szereg funkcji. On to zapewne wciągnął do współpracy swego przyjaciela, jak wiadomo, współpracowali już na tym gruncie. Tym razem jednak nie miała to być tylko „teoria”. Scena Robotnicza osiągnęła w tym czasie — nie bez zasług jej ówczesnego kierownika M. J. Szackiego — wysoki poziom artystyczny i myślane nawet o przekształceniu jej w zawodowy teatr robotniczy. Zdobyto stałą salę i zorganizowano „gospodarstwo teatralne”, zbudowano „miły, nowoczesny teatr”. Wtedy to — według relacji Wandurskiego — „salę począł dekorować Karol Hiller”. Był on także autorem afisza Sceny Robotniczej, który w jego projekcie miał być odtąd stałą wizytówką teatru na murach miasta. Wizytówka ta, trzeba dodać, była zrobiona znakomicie, wyróżniając się wysokim poziomem artystycznym wyraźnie od afiszy używanych wtedy przez teatr zawodowy. Afisz ten posiadał w lewym rogu u góry stały emblemat teatru: rozsunięta kurtynę z błazeńskimi maskami, która odsłaniała białą przestrzeń zakomponowaną przez artystę pierwszymi literami nazwy teatru S i R, i jakby stylizowanymi narzędziami pracy robotnika i artysty, obok w graficznym bloku umieszczona była nazwa teatru, adres, nazwisko kierownika teatru.

Współpraca ta miała także nie trwać długo, wkrótce bowiem, po wystawieniu przez teatr głosej sztuki Wandurskiego **Śmierć na gruszy**, Scena Robotnicza została zamknięta „ze względu na bezpieczeństwo i porządek publiczny”.

Zrywała się więc za każdym razem nie współpraca artystów, a przyczyniała się do tego już nie tylko niechęć do sztuki awangardowej, ale obawa przed sztuką rewolucyjną; tak bowiem, **rewolucyjnie**, jako połączenie nowej treści z nową formą rozumiełi swoje



mał obowiązującą. Nietrudno więc o przykłady kierunków i grup, których zasadą była wspólność działania różnych twórców: poświadcza to zarówno kubizm, jak futurizm, ekspresjonizm, nadrealizm, konstruktywizm, czy polski formizm, że wymieniam tylko kilka z licznych „izmów”, z których prawie każdemu właściwy był ów charakterystyczny synkretizm. W tym kontekście — przy zachowaniu, rzecz jasna, właściwej proporcji — związek Hillera-malarza i Wandurskiego-poety nie jest czymś niezwykłym, łatwo bowiem doszukać się w ich wspólnych artystycznych zamierzeniach cech ukstałowanego modelu. Nie znaczy to wszakże, by przedsięwzięcia te były tylko powieloną kopią tego, co w pewnym sensie było już nakazem epoki. Cechy odrębności a nawet oryginalności miały nadać im zarówno właściwe obu twórcom indy-

pochochać „miłością wielką i serdeczną”, składając tego więc lokrotne dowody swoją twórczością, także — jak Wandurski i Hiller — czynną działalnością. Uczucie to, silne i głębokie, pomieszczone z tym szczególnym odcieniem serdeczności, jakie żywi się wobec obiektu bliskiego, ale niezbyt urodziwego i jakby trochę kalekiego, pojmowali oni jako szczególnie wiążące zobowiązanie. Rodziło się ono i utrzymywało w latach dzieciństwa i młodości. Napisał o tym Wandurski: „byliśmy zakochani w naszym rodzinnym, brudnym i cuchnącym mieście. Z żarliwością szukaliśmy piękna w dialektycznych sprzecznościach miasta, pod grubymi warstwami sadzy, nędzy, niedoli... i bunt”. Te wrażenia, pierwsze od krycia i doświadczenia zapadła na trwałe w chłonną wyobraźnię uzdolnionych artystycznie młodzieńców.

Szczególnym zbiegiem okoliczności raz jeszcze mieli doznać podobnych doświadczeń: obaj byli świadkami rewolucyjnych wydarzeń w Rosji w 1917 roku. Przybyli tu — każdy w innym czasie — by studiować dyscyplinę dość odległą od ich właściwych zainteresowań i uzdolnień. Wandurski skończył w Moskwie prawo, ale działalność rozpoczął jako reżyser i organizator w amatorskim ruchu teatralnym na Ukrainie. Hiller porzucił techniczną uczelnię, by studiować malarstwo w kijowskiej pracowni profesora Bojczuka. U obu tu właśnie zapadły decyzje wiążące, tu wykrystalizowały się ostatecznie artystyczne upodobania i ideowe poglądy, odmieniające zasadniczo tak zgoła inaczej zapowiadające się na początku ich drogi. Do kraju powrócił już nie tylko młody architekt, ale malarz, który przywiezie ze sobą tajemnicze przepisy malowania tempera, odnalezione w rękopisach dawnych młóchów, oraz poeta, który obok teatralnych doświadczeń będzie miał w swojej autorskiej teście pierwsze ambitniejsze próby poetyckie, Wandurski — jako pisarz, siłą rzeczy pozostawiający po



widualne dyspozycje artystyczne, jak i swoista specyfika terenu na gruncie którego wyrosły.

Równieśnicy i synowie Łodzi — Wandurski nie urodzony w tym mieście mieszkający tu od wczesnego dzieciństwa — wychowali się w warunkach podobnych: kształtowała ich świadomość i wrażliwość artystyczną rzeczywistość wielkiego fabrycznego miasta o głębokich, ostro uwydatnionych kontrastach społecznych. Im-



SCENA ROBOTNICZA

Nadawca 30 przy G. K. Z. Z. Nadawca 36
pod kierown. M. J. SZACKIEGO

We wtorek, 21, czwartek 23, piątek, 24,
sobotę, 25, niedzielę 26 kwietnia r. b.
i dni następnych

ŚMIERĆ NA GRUSZY

Zabawa sceniczna w 3 aktach (9 obrazach)
układu WITOLDA WANDURSKIEGO.
Projekty kostiumów, dekoracje i reżyserja AUTORA.
Dekoracja sali art. mal. KAROLA HILLERA

estetyczne robotników, że nie ograniczało się tylko do dyskusji na ten temat, nie ulega wątpliwości. Nie bez doświadczeń w tej mierze mógł bowiem Wandurski stwierdzić, że: „gdyby któryś z młodych malarzy-formistów zaproponował za darmo nawet albo za zwrotem materiałów — udekorować salę związkową według wymagań nowej sztuki, opartej na konstrukcji rytmicznej i na estetyce pracy (...) żaden z projektów nie zostałby przyjęty, a projektodawca byłby wysmiany po odejściu, jako „futurysta” — co w pojęciu robotnika polskiego znaczy to samo, co drapieżność, panicki, „zawracający ludziom głowę bzdurami”.

A jednak Hiller odważył się dekorować salę dla robotników nowoczesnie, zgodnie z wymogami nowej sztuki, tylko że była to już sala robotniczego teatru awangardo-

powołanie obaj artyści. Można by odnotować jeszcze kilka przykładów związków i współpracy obu twórców i działaczy, jak np. zaprojektowanie przez Hillera okładki do „Dziwni” (1928, nr 8), komunistycznego pisma literacko-społecznego, redowanego w pewnym okresie przez Wandurskiego, czy pełne uznania wzmianki tego ostatniego o sztuce malarskiej Hillera, zamieszczone w jego stałych korespondencjach do „Wiadomości Literackich” i in. Dodać to tylko jeszcze kilka szczegółów do rejestru, ale w niczym już nie zmienia obrazu współpracy dwu zaprzyjaźnionych artystów, których ożywia idea sztuki nowej. Zdołali oni, co nie udaje się wszystkim artystom, wyciągnąć w swojej twórczości konsekwentne wnioski z doświadczeń, których dostarczała im rzeczywistość rodzinnego, robotniczego miasta.

DZIEŃ POWSZEDNI

Podziemie pełne turkotu maszyn nad głową, długie, wąskie i ciemne korytarze, to biegące w górę, to w dół opadające. I jeszcze drutem oplecione, mdłe światło żarówek pod sufitem, zapach mysich odchodów i naftaliny, która obficie sypała stary Mieciek. W drewnianych korytarzach leżały hałdy klebów czesankowych: wełna, argona, elana, mieszanina. To było główne miejsce pracy — magazyn czesanki. Rano smarowanie wózków, a po nim — rozjazd w korytarze.

re, serce wali młotem, a nogi dygoczą z wysiłku.

Jan z windy chlubił się wspaniałą brodą, co lśniła niby nowo narodzony kasztan. Przywodził ze wsi do wielkiego miasta. Brakowało mu zapachu lasu, śpiewu ptaków i ciszy. Łaził w podartym dreluchu i powiazanych sznurkami trepach, gdyż nowe sprzedawał, a uzyskane tą drogą pieniądze przeznaczał na hodowlę ptaków. Z chałupy wyniósł wielką pobożność, aż do przesady, bo przed Wielką Nocą zamykał się w windzie i bluźnił na

bracy nikt nie mógł się wygadać. Czynności były sprawnie rozdzielone. Wyznaczony dyżurny przynosił kawę na śniadanie. Prawie wszyscy z owiej piętnastki po chodzili ze wsi, mieszkali zaś na Chojnach.

Stary Mieciek pełnił funkcję sprzątacza. Niegdyś pracował na przedalniu, od trzydnastego roku życia. Chory na płuca, zgorzkniały, zepchnięty do podrzędnej roli (sprzątanie było dla niego ujmą) przy najmniejszym spieciu wybuchał stekiem ciężkich słów, ciężkich jak wszystkie dni jego życia.

Tego roku wiosna przyszła wcześniej. Na murach, od północy strony wylazły siwy z mrozu, podmuchy wiatru trącały lśniące paki z utajoną zielenią. Patrzyliśmy z ram pi, jak od portierni ciągnął kolorowy wąż kobiet, śpieszących na poobiednią zmianę. Południowy wietrzyk wygłaskał sukienki na błodach i brzuchach, podkreślał kołębłość. Zbliżał się 1 Maja. Nikt się jakoś nie kwapił do podejmowania zobowiązań. Do partii należał tylko Bureczak.

na godzinę plus 50 proc. premii.

Z okazji ważnych uroczystości państwowych w zakładzie zawsze odbywała się akademia. Występowali artyści scen łódzkich. Pamiętam, że największą popularnością u załogi cieszył się Tadeusz Woźniakowski. Mieliśmy możliwość oglądania filmów, i to atrakcyjnych. Biblioteka służyła kilkoma tysiącami tomów. Ludzie czytali najchętniej Kraszewskiego, Sienkiewicza, Orzeszkową, kobiety — Rodziewiczównę, Młodzież i inteligencja sięgała po Camusa, Hemingwaya czy Steinbecka. Miły zwyczaj panował w radiowęźle, którym opiekowało się koło ZMS. Nie grzmiał szkodliwie przez cały dzień, lecz nadawał każdego dnia koncert życzeń dla aktualnych solenizantów.

Lato przeszło upalne, duszne, pełne kurzu, woni rozpalonej smoły i gorącości murów. Rozpoczęła się jesień. Ze starego kasztana wpadała ta jesień do magazynu, rdzawa i żółta. Na podwórzu garbusiek Kazio zmiatał liście, w wolnych chwilach wpadał do palarni i rozweselał ponure dni dowcipami i grą na organkach. Jan z windy jakiegoś dziurki wiercił w ścianie, coś tam wtykał. Przyszedł nowy pracownik, „Aronem” zwany. Z przeżyć wojennych wyniósł ślady choroby psychicznej. Ogromny był chłop, ciężko kołysał się na krzywych nogach. Nigdy nie rozstawał się z czapką, której daszek był wyswiechtany do połysku od chwytania palcami. W zdenerwowaniu chwycił go kilkanaście razy na minutę.

Najwięcej używali sobie na Aronie dwaj bokserzy, Ziutek i Franek. Przyczepiali ogony, wkładali kleby czesanki do szafki — że niby Aron kradnie, łączyli drutem windę z wagą, a nieszczęsny „uż tam nie wszedł. Gdy udał się w głąb korytarza — gasili światło. Rozlegały się łomoty i przekleństwa — to Aron walczył z ciemnościami, strachem i ścianami korytarza. Z początku wszyscy się bawili, lecz Aron zaczął płakać. Głupio nam się robiło, gdy takie wielkie chłopisko szlochało. Poczęliśmy się wzajemnie opieprzać i oskarżać o zniecanie nad Aronem. Mimo tłumaczeń i ostrzeżeń Ziutek i Franek dalej swawolili. Wtedy posłaliśmy do rady, rada do działu kadr. Chłopaki dostali opieprz i nagany na piśmie. Podsmiewajki ustały.

Nastała zima. Każdy krył się pod dach, na dworze pracowały wyznaczone grupy, według kolejności. W wolnych chwilach rozpalały się dyskusje. Kabat wywodził, że Boga nie ma, że nie ma też piekła, bo jak duszy nie widać, to co tam będzie się smażyć? Prawie wszyscy wleźdźali na niego i sypali własnymi dowodami. Chudy, wygadany Piela poniała Kabata. Raz stwierdził — gdzieś to wyczytał — że Matka Boska...

Na łaką zniewagę uczuć porwał się od windy Jan z dziesięciokilogramowym odważnikiem, ale go Bureczak powstrzymał.

Siedzieliśmy któregoś popołudnia przy windzie, a za okratowanym okienkiem wiatr szastał pyłem śniegowym. Wtedy stało się coś nieoczekiwanego; jakby powiało skoszona łaka, rżeniem koni, zapachem nocy czerwcowej. W ścianie zagrały świerszcze. To była robota Jana — te wieczorne niegdyś dziurki. Świerszczowe muzykowanie pogodziło Jana z Piela. I znów dnie biegły monotonicznie. Setki klebów, co miały się stać pięknymi ubraniami, wędrowały przez nasze ręce. Zmieniały się numery partii, pustoszały i zapelniały się kołce, maszyny pracowały, toczyło się życie. Raz Woźniak odparzył stopę i to było większe wydarzenie. Sam korzystał z apteczki. Jak się okazało — smarował nogę...

Kronkami Waleriana. Ziutek towarem nasmarował szulę i miotłę Miecika, za co stary wysypał mu na łeb pudło naftaliny.

Szedł kwiecień i topniały śniegi. Piela skończył siódmą klasę w szkole dla pracujących i został zastępcą magazyniera, bo robotę umiał dobrze zorganizować. Ja odszedłem, by szukać nowych dróg w życiu.

Stałem nieraz na przystanku i patrzyłem na mój zakład. Zostałem tam częścią życia, zakład zawsze wydawał mi się ogromny. Dziś zmalował, przesłonięty wspaniałym gmachem domu towarowego, piękna kawiarnia i bar z barwnymi neonami i jasnymi salami. Minęły lata, wiele się zmieniło. Pozostały w pamięci twarze ludzi, ich głosy, ich radości i kłopoty; pozostali w pamięci ludzie, z którymi dzieliłem trud dnia powszedniego.

Opowieść ta powstała na zamówienie Zarządu Głównego Związku Włóknarzy który ogłosił wśród załóg fabrycznych konkurs na wspomnienie pod hasłem: „W moim zakładzie”. Ale autorem, którego prawdziwego nazwiska nie możemy ze względu na anonimowość pracy ujawnić, powodowała przede wszystkim potrzeba szczerości, pisze intymnie, pisze serdecznie, pisze o tym, co bardzo osobiste. Dlatego też zaszła potrzeba zmiany nazwisk bohaterów opowieści, którzy niekiedy bezpośrednio zwierzeń autora mieliby prawo czuć się dotknięci.

Poza drobnym skrótem nie ingerujemy w pracę, chcąc dać czytelnikowi przyjemność obejrzenia ze świeżością tego tekstu. Czytelnikowi też winni jesteśmy pewne informacje o autorze. W rubryce zawód pisze o sobie — wózkarz. W latach 1960—62 zatrudniony był w jednej z łódzkich fabryk przemysłu włókiennego, tego też okresu dotyczy jego wspomnienie. Mieszka gdzieś w okolicach Rzgowa, na wsi.

K. F.

Jeździłem z Andrzejem. Był chłopakiem dość inteligentnym i trochę myślącym. Krótkowzroczny, każda paczkę przesuwał blisko oczu by mi wreszcie podać do wózka. Należało sprawdzać numery partii na paczkach, żeby nie zmieszać gatunków i odcieni. Wjeżdżaliśmy na wagę, zapisywałem ciężar towaru, a potem do windy i na oddział przygotowawczy. Nieraz przerzucałem dziennik tysiące paczek. Przychodziły transporty do rozładowania. Czekaliśmy w kolejce po załadowany wózek. Od poczytywaliśmy. I znów połam trzysta kilogramów pod gó-

zapas — inaczej nie miałyby z czym iść do spowiedzi. Jego wielkim przeciwnikiem był Kabat. Kabat służył w Legii i pół świata przemierzył. Wielki był mądrak, do Boga zaufania nie miał. Słuchaliśmy z otwartymi gębami jego opowieści, w których przewijały się piękne i nagie dziewczyny, pełne egzotyki dżungle Indochin, Arabowie, rozpruwanie gardzieli i Bóg wie co jeszcze. Często wypędzał nas z pakamery cholernie cuchnącym serem. To był jego ulubiony przysmak, więc mu przebaczyliśmy. Stanowiliśmy małą, piętnastoosobową załogę, gdzie od

Złosiłszy szewc Warkot twierdził, że tamten w Boże Ciało nosi z księdzem chorągiew, a w 1 Maja — sztandar. Jak było, to było, grunt, że Bureczak widział, iż lepiej mu się teraz dzieje niż za dziecina. Wystawiał się strasznie ciężko, ale do roboty był twardy. Jak sam zaczął konić z wózkami, to rad niera, każdy musiał spieszyć, żeby nadażyć. W wyniku tego nie zdarzył się ani jeden postój na przygotowanie i do 1 Maja przadki wykreciły pięć ton nitów ponad plan. Zarobki mieliśmy słabe, ale dzięki pomocy rady zakładowej podniesiono nam stawkę do 5.50 zł



* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym
okiem

WIĘCEJ PLASTYKOWYCH NÓŻEK!

Jak wiadomo, celność, skuteczność i poziom poszczególnych audycji radiowych i telewizyjnych mierzy się ilością listów, jakie w związku z daną audycją wpłynęły do redakcji Polskiego Radia. Najskuteczniejsze są więc gąski Balbinki, bo dzieci lubią rozmawiać z urojonymi postaciami, oraz Matysiakowie, bo starzy ludzie, którzy tej powieści słuchają, mają dużo czasu, a nie mają do kogo pisać. Na najniższym poziomie wydają się natomiast pozostawać odczyty naukowe i widowiska klasyczne, bo cóż można o czymś takim powiedzieć w liście do rozgłośni?

Ludność jako tako dorosła woli więc pisać wiersze zamiast listów, a ludność bardzo dorosła w ogóle nie pisze — z wyjątkiem paru tysięcy zawodowców; chyba że anonimowo do dyrekcyj.

Zupełnie wyjątkowe szczęście ma tylko nowy supergigant, kwartalnik „Opinia”. Wyszedł dopiero pierwszy numer, jeszcze nikt nie wiedział, że na takie wydarzenie się zanosi, a już sporo w nim

listów do „Drobiej Redakcji”. — „Nim cię poznałem, to już cię kochałem...” — jak śpiewano niegdyś w piosence...

Kwartalnik, liczący całe sto stron pięknego papieru, pokrytych wymyślną szatą graficzną, poświęcony jest reklamie, płatnej przez poszczególnych producentów oraz wystawianiu jednoznacznych, scentralizowanych cenurek, niezależnych od producentów. Atrakcyjność jego podnoszą — poza naprawdę pięknym wystrójem graficznym — liczne konkursy z nagrodami (konkurs na piosenkę o sokach owocowych, konkurs na hasło reklamowe, konkurs na konkursy, konkurs ostatniej strony i dwie krzyżówki) oraz długa powieść — komiks, ze zdjęciami zamiast rysunków, kończąca się złotą myślą: „Zanim zastanowimy się nad dalszym ciągiem pomysłu, że czasami milicjant regulując ruch reguluje jednocześnie losami ludzi”.

Niezależnie od tego, czym reguluje „Opinia”, zadowolę się jej gatunkiem papieru, ilością papieru, no i czytelnikowi piszących listy. Do nas, do „Odgłosów”, to nie chcą pisać, chociaż znamy się już wzajemnie ładnych parę lat. A może właśnie dlatego, że się znamy? Albo zgodnie z przykazaniem dobrego urzędnika: nie myśl, a jeżeli myślisz — to nie mów, jeśli mówisz — nie pisz, jeśli piesz — nie podpisuj!?

Grunt jednak, że tygodnik jest czytany. Zwłaszcza w tramwaju, bo gdzie indziej to nie mam „wglądu”, i zwłaszcza przez panów, bo panie w tramwaju mają inne zmartwienia: pamiętać o pończochach. Pończochy mieliśmy do niedawna takie, że od samego patrzenia pręły się z góry na dół. Teraz się nie prują. Po prostu są dziurawe

we nie tylko już przed włożeniem na nóżkę, ale na długo przed kupnem, na pniu. Dawno temu stawiano w sklepach pończosznich nóg damską z przezroczystego plastiku, oświetloną od ośrodka, sprzedawczyń naciągającą przy klientce pończochę na tę skomplikowaną maszynę, pstrykała światło i demonstrowała, że przynajmniej w tej chwili wszystko jest o key, a dalej — to proszę uważać. Zwłaszcza w tramwaju.

Dziś nie mamy czasu na takie ceregiele. Daje się sześćdziesiąt złotych, czyli całą dniówkę, bierz szesześćdziesiąt kopertę z czymś tam w środku, reszta jest milczeniem i bezsilną furją. To już nie są lecące pojedyncze oczka, to cały rosół, cała sieć rybacka, całe wielkie, trzycentymetrowe ślepie.

W swej książce o dziejach przemysłu polskiego pisze autor A. Bocheński, że kiedy w kopalniach olkuskich zamulita się sztolnia i przegniły drewniane oprawy, skazano pisarza sztolni, Guzowskiego, na śmierć za tak wielkie zaniedbania. Przy dzisiejszym podziale pracy trudno byłoby zapewne stwierdzić, który z pisarzy przemysłowych zawinił zamulenia w fabrykach pończoch, zresztą, cóż by nam dał taki czy inny wyrok? Czy zwróciłby nam, mężom, wszystkie sześćdziesięciotłotówki, wyrzucone przez żony zwyciężające w bito?

To już raczej prosimy o plastikowe nóżki w sklepach. I o odpowiednią cenurkę w „Opinii”, może ktoś się zawstydi, albo co?

CWIEK